

Papi Jadwiga Teresa

POD CECORĄ

Obrazek na tle dziejowym XVII wieku

WSTĘP.

O trzy mile od Lwowa, na ziemi dawniej zwanej województwem Lwowskim, we wsi Turyńce graniczącej z Żółkwią, stał niegdyś dwór modrzewiowy, gniazdo znakomitej rodziny Żółkiewskich. Był dzień posepny, na burzę się zbierało, więc stary pan Żółkiewski, dziaduniem we dworze przez rodzinę zwany, zawołał na wnuków, aby szły do domu. Z żalem opuściła dziatwa kwieciste pagórki, na które lubiła biegać, i zebrała się w wielkiej izbie, której ściany zbroje zawieszona zdobiły. Dziadunio rozsiadł się w wygodnym fotelu naprzeciw kominka, w którym popiół tylko leżał; dziatwa zrazu skupiła się koło okna i gonila chmury po niebie. Gdy jednak zamiast spodziewanych ognistych znaków ujrzała deszcz strugami lejący,

który rozwiesił szarą oponę między oknami a dalszym światem,
pobiegła do
dziadunia i otoczyła go wokół.

— Dziaduniu, opowiedz nam co o Tatarach — odezwał się najstarszy
z gromadki,
ośmioletni Staś.

— Roznieć ogień na kominku, a opowiem — odparł pan Żółkiewski.

— Gdy iskierki
czerwone zabłyszczą, rozjaśni się pamięć i powieść łącznie z ust
popłynie.

Staś skoczył natychmiast do komina. Nie brakło tam nigdy drewek
narąbanych,

leżących w pobliżu, hubkę i krzesiwo podał ma dziaduś, wnet też
zaświecił ogień

i wygnał szare mroki z izby. Dzieci skupiły się bliżej dziadunia, on
najmłodsza

wnuczkę ulubienicę wziął na kolana, Stasia objął ramieniem i tak
począł

opowiadać:

— Panował wówczas w Krakowie nieodżałowanej pamięci król
Zygmunt I Starym zwany,

ojciec naszego miłościwego Pana, Zygmunta Augusta. Dzień był
posepny, strumienie

deszczu lały się z nieba od rana, zdawało się, że chcą świat zatopić; w
izbach

było chłodno, kazałem przeto rozniecić ogień na kominie i siadłem z
babką.

waszą, a moją żoną, gawędzić. Ona trzymała na kolanach dwuletnią
dziewczynkę,

ciotkę waszą, ja ojca waszego, który trzy lata liczył za ledwie. Dzieci
zapatrzona w płomień ogniska nie przeszkadzały nam,

rozmawialiśmy swobodnie, a

było o czym mówić wówczas Powróciłem z Krakowa i opowiadałem
o zmianach, jakie

zaszły w Prusach, ziemi nam sąsiedniej, którą władał zakon krzyżacki.
Mistrz
tego zakonu, rodzony siostrzeniec króla, zwinął zakon, przywdział
strój świecki,
wiarę zmienił, i przy-

jąwszy tytuł księcia, gotował się do wojny z królem naszym, który nie
chciał mu
pozwolić na te zmiany. Powołał więc nas Zygmunt na radę, a
wynikiem tej rady
było, iż Mikołaj Firlej został wysłany do Prus z hufcem zbrojnym.
Albrecht
zmiękł natychmiast i prosił o porozumienie się z królem: chciał
przyjechać do
Torunia i tam z wujem prywatnie swoją sprawę ogadać. Król namyślał
się nad
odповідzią, a tymczasem kroki wojenne powstrzymał. Korzystając z
tej zwłoki,
powróciłem copędzej do domu, by zobaczyć, czy służba spełnia
sumiennie włożone
na nią obowiązki, czy żona i dzieci zdrowe; by powiedzieć im, jakie
sprawy
zatrzymują mnie dłużej w stolicy, niż liczyłem.
Powróciłem na krótko, nazajutrz chciałem znowu ruszyć w drogę.
Mówiłem właśnie o
tem waszej babce, przed tym oto kominkiem, przed którym my
siedzimy, gdy naraz
straszne wołanie obilo się o szyby tych okien:
— Tatarzy! tatarzy!
Spojrzę ku wsi, aż tu widzę stosy gorejące naprzeciw... Serce
powiedziało mi, że
płoną chaty naszych kmieci, do uszu moich dobiegły złowrogie
wołania:
— "Ałłach! ałłach!"
O stoczeniu walki, o obronie dworu, ani mowy być nie mogło: zbyt
niespodzianie

byłem zaskoczony. "Jeśli żonę i dzieci ocale, cud będzie" — pomyślałem.

Skinąłem na waszą babkę, zawołałem na służbę zrozumieli mnie wszyscy: bocznymi drzwiami uszliśmy do sadu. Tam wśród krzewów malin był loch ukryty; istnieje jeszcze, wasza matka nabiął w nim chowa. Do tego lochu skryliśmy się i Bóg sprawił, że nie domyślili się tego Tatarzy. Zjawili się i tutaj niebawem, zrabowali wszystko, co znaleźli, dwór podpalili i odeszli dalej. Ciotka wasza przespała tę okropną chwilę na kolanach matki, ojciec wasz siedział u mnie cichutki, przytulony do mej piersi, jak gdyby rozumiał, co nam grozi. Dzieci w milczeniu słuchały tego smutnego opowiadania. Na twarzyczkach młodszych malował się przestach. Oczy Stasia tylko gorzały dziwnym blaskiem, paliły się w nich jakieś tajone marzenia. Dziaduś na niego nie patrzył: utkwiał wzrok w płomień, buchające na kominku, a przypominające mu inne, groźniejsze, i ciągnął dalej swoje opowiadanie.

— Wieść o napadzie Tatarów na ziemię lwowską rozbiegła się migiem błyskawicy po całym kraju. Opowiadano, iż dwieście miast spalili, że trzy tysiące ludzi uprowadzili do niewoli, a drugie trzy tysiące pomordowali. Król Zygmunt posłał hufce przeciwko nim, a starszyznę powołał do Krakowa na radę i postanowił przyśpieszyć zgodę z siostrzeńcem. Jam otrzymał rozkaz ścigania Tatarów. Kazałem zbudować wam namiot

z chrustu, a poleciwszy Bogu, pożegnałem i ruszyłem na Tatarów;
rozgromiłem ich,
zmusiłem do ucieczki i z dobrą wieścią do Krakowa po-

śpieszyłem, gdzie trafiłem na wielką uroczystość: na przyjazd księcia
Albrechta.

Miłościwy król Zygmunt pozwolił mu pozostać w stanie świeckim i
używać tytułu
księcia Prus, lecz od hołdu nie zwolnił; wobec całego rycerstwa,
wobec panów i
tłoku pospólstwa, publicznie na rynku krakowskim ksiązę Prus złożył
hołd naszemu

Panu i przyrzekł być jego posłusznym lennikiem...

Powróciwszy z onej uroczystości do Turynki, kazałem dwór nowy
postawić, koni i
bydła nakupiłem, odbudowałem spalone przez Tatarów kmiece chaty.
W niespełna pół
roku mieszkańcy tak Turynki, jak Żółkwi, zapomnieli o wylanych
łzach i stratach
poniesionych.

— Dziaduniu, a czy Tatarzy więcej jeszcze kiedy napadali na nasz
kraj? — zapytał

Staś.

— O, mój maleńki! trudno zliczyć, ile razy płakali u nas ludzie na
Tatarów —

odparł pan Żółkiewski.

Toć po raz pierwszy pojawili się za panowania Bolesława, księcia
krakowskiego,

którego to poddani Wstydliwym nazwali, a którego pobożna żona
Kinga za świętą

uznaną została... Dawne to czasy, około lat będzie temu... Wówczas
szerzej o

wiele rozleli się po naszej ziemi, niż za mojej pamięci, bo wtedy byli
oni

potęgą, przed którą drżeli wszyscy królowie chrześcijańscy... Na
wspomnienie

Tatara truchleli mężczyźni, kobiety bladły; imieniem Tatara matki straszyły dzieci... Podbiwszy pół Azji, Tata-

rzy utworzyli olbrzymie państwo, a potem wkroczyli, do Europy. Król ich, któremu tytuł hana dawali, krwawy Dżingishan, powiedział, iż musi tego dokonać, aby, jako jeden Bóg jest na niebie, aby tak samo jeden han był na ziemi. Z liczną orda, tak oni hufce swoje nazywali, wkroczył Dżingishan do Europy: rżenie jego koni, ryk wielbłądów, krzyki ludzi, tworzyły podobno taki hałas, iż na milę nikt słowa zrozumieć nie mógł. Wiele, bardzo wiele uczynili oni wówczas złego ludom chrześcijańskim... Ale potęga tej dziczy znacznie potem stępieła: od krwi chrześcijańskiej pordezewiały ich szable... To jeno źle, że teraz łączą się oni często z Turkami, którzy są także nieprzyjaciołmi krzyża, przez to są silniejsi...
— Gdy duży urosnę, pójdę na Turków — rzekł Staś.
— Urośnij jak największy i jak najsilniejszy — odparł dziadunio, patrząc na niego z miłością.
— Opowiedzcie dziaduniu co o Bolesławie Wstydlwym, jak to on walczył z Tatarami; chcę być rycerzem, powinienem słuchać o rycerzach — odezwał się Staś.
— Bolesław Wstydlwy niewiele cię nauczy. Robił Coprawda ten książę co tylko mógł: bronił się i walczył, ale go rozbili Tatarzy i w ucieczce szukał ratunku.
Uszedł aż na Węgry z żoną swoją, która była córką króla tamtejszej krainy...

Opowiem ci za to o innym dzielnym rycerzu, co w one czasy walczył z Tatarami.

Mówiąc te słowa, dziadunio rozjaśnił czoło, pogładził srebrne swoje włosy i opowiadać znowu począł.
— Tym dzielnym księciem był Henryk Pobożny, książę szląski, Piast rodem, prapraprawnuk wielkiego naszego króla Bolesława Chrobrego. Otóż ów Henryk, postyszawszy, że Bolesław książę krakowski uszedł do Węgier, że za jego przykładem poszło wielu i że nikt odwagi nie ma zetrzeć się ze strasznym wrogiem, wezwawszy pomocy nieba, — postanowił stawić mu czoło i ogłosił po swojej ziemi i po sąsiednich, że z krzyżem w rękę pójdzie na bój. Zebrało się koło niego sporo rycerstwa, mieszkańcy Szląska, Sandomierskiej i krakowskiej ziemi, ci, którzy w ucieczce ocalili życie. Święta Jadwiga, matka Henryka Pobożnego, pobłogosławiła wszystkich i ruszyli ku Lignicy. Spotkały się hufce. Tatarów prowadził następca Dżingishana, Batuhan, równie srogi. Nad głową Henryka Pobożnego szumiała błękitna chorągiew, nad nią świecił krzyż złoty, godło Wiary świętej; nad głową hana ujrzeli chrześcijanie jakieś potworne straszidło z łapami rozpostartymi, z płonącymi oczyma, z gębą rozwartą, z której dym cuchnący leciał im w oczy i oślepiał. Złękli się tego straszidła i cofać poczęli, lecz Henryk Pobożny podniósł obie dłonie w górę: w jednej

błyszczała szabla, w drugiej krzyż brylantowy, od którego odbijały promienie słoneczne i, łamiąc się, cudnymi barwami jaśniały.

— Jezus! Marja! Józefie Święty! zmiłujcie się nad nami — zawołał. I wiara wróciła do serc zwątpiałych: rzucili się rycerze w pomoc księciu, który sam jeden biegł na Tatarów. Wrzasnęli znowu poganie, lecz hufce chrześcijańskie już się nie stropiły. Bój krwawy zawrzał, zaświstały strzały z obu stron: przesywają powietrze, strącają z koni walczących; szczęknęły szable, ścierając się wzajem o siebie, lub odbijając się o pancerze rycerzy. Imię Jezus i Marja brzmi ciągle w powietrzu. Z modlitwą na ustach, z hufcem dzielnych rycerzy za sobą, rzucił się Henryk Pobożny w sam środek tłuszczy pogańskiej; jedni sprzątają kopjami wrogów z koni, drudzy szablami. Zląkł się wreszcie han i skinął na swoich: opuścili pole lignickie, mnóstwo swoich zabitych pozostawiwszy na naszej ziemi, — lecz i chrześcijan padło tysiące. Zatrzymał najeźdniczy pochód Henryk Pobożny, lecz czyn ten życiem przypłacił i rycerstwo jego również: kilku zaledwie wróciło pod strzechy rodzinne, aby braciom powiedzieć, że tatarskie zapędy powstrzymać można, byle wiary w Boga nie stracić. — Skończyliście ojciec opowiadanie, teraz chodźcie na wieczerzę — ozwał się od proga głos niewieści.

Młodsze dzieci pobiegły natychmiast w radosnych podskokach do matki, Staś został przy dziadku, podał mu rękę i podążyli z wolna za innymi.

— Dziaduniu! naucz mnie szablą władać i strzelać do celu, toć już rok ósmy zacząłem — mówił chłopczyk poważnie. — Rycerzem wszakże będę, nie czem innym, im wcześniej nauczę się szablą władać, tem na dzielniejszego wyrosnę. — Hasasz już Wszakci śmiało na swoim koniku i drewnianą szabelką zręcznie wywijasz - odparł pan Żółkiewski.

— Ba, drewnianą! — szepnął Staś — to zabawka dziecka.

— A ty co, nie dziecko?

— Pewno, że nie.

Tak gawędząc, weszli do izby, w której pośrodku stał stół, białym obrusem zasłany i zastawiony srebrem. Nikt nie siadł jeszcze, wszyscy czekali na dziadunia. Puściwszy ulubieńca, pan Żółkiewski zajął pierwsze miejsce; obok niego synowa z jednej strony, z drugiej proboszcz wsi, który zwykle we dworze spędzał wieczory; dalej domownicy, kilku dworzan młodych i panien dworskich, nakoniec dzieci. Rozpoczęła się zwykła gawędka o sprawach bieżących, o królu Augustcie, zacnej jego żonie Barbarze Radziwiłównie, o dumnej królowej Bonie, która, nie chcąc poddanki uznać za synowę, wyjechała do Włoch, zabrawszy ze sobą wozy, srebrem, złotem i drogimi klejnotami wyladowane. Dzieci młodsze, nie rozumiejąc, o czym mówią starsi, zajadały ze zmkciem wieczerzę i figle ze sobą stroiły; chłopcy szturgali dziewczęta, aby mleko wy-

lewało się im z łyżek, dziewczęta chichotały się głośno. Staś siedział poważny:
czy słuchał, o czym mówili starsi, czy dumał nad tem, co mu dziaduś opowiadał,
tego nie mówił nikomu...
Po wieczerzy rozeszli się wszyscy na spoczynek. Staś długo usnąć nie mógł:
strzały tatarskie świszczwały mu w uszach, brzydkie, śniade, płaskie ich twarze o
maleńkich krzywych oczach stały przed oczyma. Wkońcu jednak usnął, - a wówczas
zdało mu się, że Henryk książę szląski stanął przed nim z chorągwią rozwiniętą,
z okiem błyszczącym, w świecącym pancerzu; że słyszy szelest jego proporca...
Wpatrzył się zachwycony w tego rycerza pobożnego i rzekł:
— Naucz mnie szablą władać, abym, gdy urosnę, został obrońcą krzyża!
Henryk Pobożny uśmiechnął się do niego łagodnie i, dłoń swoją położywszy na jego ramieniu, odparł:
— "Nauczę cię, a w duszę twoją wleję męztwo, w serce gorącą miłość swej wiary. I
będziesz walczył w obronie krzyża i umrzesz za Chrystusa, a słodką, jest śmierć,
gdy życie oddajem za tych, których kochamy. "
To powiedziawszy, pochylił się do niego i pocałował go lekko w czoło.
— "Takiej śmierci pragnij, takiej się nie lękaj" — dodał.
— Co tobie jest? — zapytała nazajutrz przy śnią-

daniu wojewodzina starszego syna — smutek patrzy ci z oczu, możeś ty chory?

Staś podniósł na matkę zamglone oczy.
— Miałem sen dziwny — odparł. I począł opowiadać.
Na twarzy pani Żółkiewskiej odmalował się przestach; przywołała
syna do siebie,
do piersi go przygarnęła.
— Tyś jeszcze maleńki — rzekła głosem wzruszonym — hasaj
wesoło po błoniach na
koniku, szabelką wywijaj, a o wojnach i Tatarach nie myśl.
Zawczasie synku dla
ciebie na takie myśli, które marszczą czoło: do ciebie uśmiecha się
teraz życie,
jak wiosna do ziemi, obiecując ci promienie słoneczne, i kwiatki
wonne, i śpiew
ptasząt. Tobie nie myśleć o śmierci, jeno o życiu.
— Śmierć w obronie Wiary jest słodką, powiedział Henryk Pobożny.
Mamo, ja się
śmierci nie boję, tylko tego, czy potrafię tak odważnie bić się, jak syn
Świętej
Jadwigi — odparł Staś.
Wtem za oknami rozległ się tentent, turkot kół i wołania:
— "Jaśnie Wielmożny Wojewoda!"
Porwał się Staś od stołu czempredzej i pobiegł do sieni, za nim
wszyscy. W sieni
był tłok od służby, lecz rozstąpili się, gdy państwa ujrzeli.
Zarumieniona, z
oczyma świecącymi radością, wojewodzina stanęła na ganku, obok
niej stary pan
Żółkiewski z jednej

strony, z drugiej młodsza dziatwa; Staś zbiegł ze schodów, chciał sam
usłużyć
ojcu.
Na drodze od gościńca wiodącej, wysadzonej lipami, które kwitły
właśnie i woń
balsamiczną, rozlewały w powietrzu, widać było trzech panów na
dziarskich

koniach, za nimi wóz wyładowany tłomokami, za wozem służbę konną.

Ujrzawszy rodzinę, wojewoda bodnął konia ostrogą, rumak szarpnął się, zarżał i

pierwszy stanął przed dworem.

Staś ujął konia za uzdę, wojewoda zeskoczył z siodła i, zwróciwszy się do syna,

pocałował go w czoło.

— Pytał o ciebie ojciec twój chrzestny, pan kasztelan chełmski, czyś zuch, kiedy

służby rycerskiej uczyć się zaczniesz — rzekł wesoło.

Staś objął kolana wojewody.

— Jam gotów chociażby jutro — odparł — pragnę być rycerzem i walczyć w obronie

krzyża.

Wojewoda poklepał go po ramieniu.

— Jutro zawczasem — rzekł — lecz tuszę, że z czasem służyć będziesz szablą Bogu

i Ojczyźnie, że poznasz i Tatara i Turka.

Nadciągnęli właśnie towarzysze wojewody, jeden z nich dosłyszał ostatnie wyrazy.

— A czego to wilka do owczarni wołasz, wojewodo? — zapytał, zwolna z powodu

tuszy wielkiej pnać się po schodach ganku. — Niejeden lud płakał już na tych

barbarzyńców, a bliskie nam na-

rody jęczą w ciężkiej ich niewoli. Bodajby syn twój nigdy ich nie poznał.

— Dobrze rzekliście, panie Hieronimie — wmieszał się do rozmowy starszy pan

Żółkiewski, do którego wojewoda zwrócił się właśnie z powitaniem, i podał dłoń

do uścisku, zamieniając z gościem głośnie pocałunki.

Tymczasem Staś odprowadził konia ojcowskiego, a pachołcy dworscy dwóch innych

panów. Chłopiec szedł z wolna zamyślony i mówił sam do siebie:
— Dziaduś opowiadał mi o Tatarach, ojciec o Turkach wspomniał:
czy oni braćmi są
sobie, czy wrogami?

Pan wojewoda przedstawił żonie gości: jeden był to rycerz dzielny —
Hieronim

Chodkiewicz, kasztelan wileński, drugi pan Herburt, brat rodzony
pani Anny

Zamojskiej, kasztelanowej chełmskiej.

Gdy Staś ze stajni powrócił, zastał już ojca i jego towarzyszków w sali
gościnnej. Rozłożyli się na miękkich krzesłach, służba obnosiła
puhary z miodem

na srebrnych tacach. Stary pan Żółkiewski częstował gości, młody
opowiadał ojcu

o tem, czego był świadkiem, bawiąc w Krakowie.

Pani Żółkiewska do szpizarni się oddaliła, gdzie czyniła
rozporządzenia do

obiadu, który wystawnym być musiał z powodu niezwykłych gości.

Usunąwszy się w najmniej widoczny kąt pokoju, Staś siedział cichutki
i słuchał
ojca.

— Niewiele brakowało, by podczas mojej nieobecności przybył do
Turyńki goniec

ode mnie z wieścią, iż na bój krwawy jadę — mówił wojewoda.

— A z kimże tam nasz cichy August swarzyć się zamierzał? —
zapytał stary pan

Żółkiewski.

— Jako wam ojciec wiadomo, odmiany religijne zajmują teraz całą
Europę —

odpowiedział wojewoda — z powodu tych odmian wynikła dla nas
wielka sprawa.

Zakon mieczowy, który włada Inflantami, zniesiony został, a mistrz
jego, jak

niegdyś mistrz Albrecht, siostrzan nieboszczyka króla Zygmunta I-go,
przyjął

wiarę luterską i księciem się ogłosił. Arcybiskup inflancki, zgorszony
tem,
począł głośno na księcia powstawać; ten, lękając się, by nie podniecił
przeciw
niemu ludności, uwięził biskupa. Dowiedziawszy się o tem, Papież
Paweł IV
przysłał list do miłościwego Pana naszego, przypominając mu, że
królowie i
księżęta polscy zawsze bronili kościoła od wściekłości wilków
żarłocznych: tuszy
więc, że nasz miłociwy August obojętniejszym nie okaże się od
przodków. Król
wysłał zaraz do księcia inflanckiego Kacpra Łackiego, aby wymógł
uwolnienie
arcybiskupa, ale posła królewskiego pospólstwo zamordowało.
Sprawa wytoczyła się
przed sejm i uchwaliliśmy wojnę przeciw Inflantom. Król powołał
Litwinów do
broni, Gdańszczanom kazał uzbroić statki, własnym zaś jego kosztem
miały stanąć
trzy okręty. Prócz tych sił Albrecht książe pruski obiecał jeszcze
dostarczyć trzy tysiące

żołnierza. Już napisałem do domu list pożegnalny, gdy zjawił się w
Krakowie
poseł od księcia inflanckiego i przywiózł warunki pokoju oraz
wiadomość, że
arcybiskup został uwolniony z więzienia. Tak więc, zamiast do Inflant
z
rycerstwem, podążyłem do Turynki z przyjaciółmi.
— To i dobrze, że pokojem zakończyliście wyprawę — odezwał się
stary pan
Żółkiewski; — dość, wojowali nasi praojcowie, to z Niemcami, to z
Tatarami, lub

Turkami. Pokój krajowi potrzebny, pokój miły każdemu. Polska
rośnie w zamożność,
ludzi świątłych przybywa, gdyż pokoju zażywamy... Złote czasy dla
nas nastały,
gdy przodkowie w żelaznych żyli.

Jaś był znacznie śmielszy z dziaduniem, niż z ojcem, bo ten ostatni
gościem
bywał w domu, — więc wysunął się z ukrycia i usiadł u nóg starego
pana

Żółkiewskiego.

— Dziaduniu, powiedz mi, czy Tatar i Turek to jedno? — zapytał.

— W tem, że obaj są nieprzyjaciołmi krzyża, w tem się godzą —
odparł pan

Żółkiewski, oparłszy dłoń na ramieniu chłopca — i w tem jeszcze, że
jeden i

drugi pochodzą od dzikich Mongołów. Lecz Tatarzy nie stworzyli w
Europie państwa

własnego: wpadali, jak burza, rzucali pioruny, zabijali, palili, unosili
na

koniach, co unieść mogli, przed sobą pędzili zabrane bydło, owce i
jeńców,

poczem znikali. Turcy zaś rozsiedli się na stałe tam, gdzie niegdyś
państwo

rzymskie wschodnie istniało; kościoły chrześcijańskie pozamieniali na
meczety,

stworzyli państwo potężne, którego granice ciągle rozszerzają, coraz
więcej

ludów chrześcijańskich ujarzmiając. Przed Tatarami drżała dawniej
Europa, dziś

poczyna drzeć przed Turkami. Henryk Pobożny zmusił Tatarów, iż się
cofnęli,

Władysław Warneńczyk w pierwszym swoim spotkaniu z Turkami
wymógł na nich

obietnicę, iż opuszczą zabrane ziemie: Serbję i Bułgarję.

— Pamiętam, pamiętam — przerwał raptem Staś panu Żółkiewskiemu. — Dziaduś mi kiedyś o tym Warneńczyku opowiadał. Dziadek pokręcił węża na znak zadowolenia. — Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie — rzekł. Stłucze się potęga Turcji, bo zawiele łez na niej ciąży. Staś chciał znowu zadać jakieś pytanie, lecz weszła Wojewodzina i zaprosiła na obiad. Tej nocy nie o Henryku Pobożnym śnił chłopiec, lecz o Władysławie Warneńczyku: piękny, młody król stanął przed nim z rozwiniętą chorągwią... Staś zerwał się z pościeli, otworzył oczy i westchnął, że to tylko sen.

I.

Lat kilka upłynęło od powyżej opisanych wypadków, a przez ten czas zaszły niemałe zmiany nie-

tylko w domu pana wojewody Żółkiewskiego, lecz i w całym kraju. Król Zygmunt August już nie żył, po nim sprawował chwilowo rządy Henryk Walezjusz, lecz umknął z Polski, bo mignęła mu w nadziei korona francuzka, a wolał być królem na swojej ziemi, niż na obcej. Po jego ucieczce nawiedzili Polskę Tatarzy, wpadli na Ruś, — Turynka widziała łuny rozpostarte naokoło. Wojewody i Stasia nie było wówczas w domu, obaj w Krakowie bawili; jeden radził z panami nad obiorem nowego króla, drugi uczył się w szkole. Stary pan Żółkiewski uzbroił kmieci i

-z

młodszy wnuk poszedł przeciw najezdom. Obaj poległ, lecz
Tatarzy cofnęli
się, poniosłszy ciężkie straty.
Najazd przyspieszył zwołanie elekcji. Panowie obrali królem księcia
Siedmiogrodu: na tronie polskim zasiadł Batory, pan dzielny, który
dał narodowi
dowody, że i orężem władać umie i rozumu mu nie brak. Pozakładał
nowe trybunały,
wzniósł drugą akademię w kraju. Rozumni i zacni cenili go wielce, on
zaś
potrafił nagradzać zasłużonych; przyjacielem jego, prawą ręką. był
syn
kasztelana chełmskiego, Jan Zamojski.
W Turynce oczekiwano właśnie powrotu z Krakowa wojewody,
którego pognała tam
ważna sprawa. Z niechęcią z domu wyjechał, gdyż właśnie powrócił
Stanisław,
ukończywszy nauki za granicą, jeszcze więc nie nacieszył się synem.
Lecz
śpieszyć trzeba było koniecznie do stolicy, gdyż przyszły wieści,

że Tatarzy gotują się do napaści na Rzeczpospolitą i król powołał
wszystkich do
broni.
Stanisław chciał koniecznie ojcu towarzyszyć, lecz matka uprosiła
wojewodę, iż
chłopca nie wzięł ze sobą; obiecał wszakże synowi, że, jak tylko się
dowie,
gdzie i kiedy mają ruszyć na Tatarów, powoła go natychmiast do
siebie.
Staś nie sypiał po nocach, tylko marzył o tem. jak pierwszy raz
pancerz
przywdzieje. I widział już oczyma duszy pole bojowe, dzikich
Tatarów, i pędził w
myśli na nich, z szablą wzniesioną w górę.

Wojewodzina również po całych nocach nie sypiała. I ona także nasłuchiwała ustawicznie, czy poseł od wojewody nie pędzi gościńcem, czy nie kołacze do drzwi. Z jej oczu podczas tych nocy bezsennych niejedna łza spadła na poduszkę — Ot dola matek — skarżyła się sama, przed sobą: wykołysze, wypieści, a potem puścić musi na bój krwawy! Pewnej nocy, gdy matka i syn troszczyli się oboje przyszłością, — każde z innego powodu, usłyszeli lecący tentent od gościńca, lecz tentent zdradzał, że nie jeden pędzi drogą, ale kilku. Zaniepokojeni, porwali się z pościeli, i przywdzawszy naprędcę suknie, wybiegli do sieni. Słuch ich nie mylił: już furta dziedzińca była roztwartą i kilku konnych wjeżdżało. Mrok nocy nie

dozwalał rozpoznać twarzy przybyłych, przecież oboje, jednym przeczuciem tknięci, wykrzyknęli radośnie: — Ojciec! W istocie sam pan Żółkiewski powrócił ze swymi dworzanami. Zdawał się być czegoś rad wielce: wesołość świeciła mu z oczu. Zeskoczył z konia, pośpieszył do żony i uścisnął ją; syna, który pochylił się do jego kolan, podniósł i pocałował w czoło, poczem wszedłszy do izby jadalnej z panami, którzy towarzyszyli mu do Krakowa, rzekł wesoło do wojewodziny: — Pewno wylewałaś łzy nad jedynakiem, pewno każdej nocy brzydki Tatar zaglądał ci w oczy... Otóż wiedz, iż próżne były twoje żale. Bóg nie chciał naszej krwi

tym razem: wezbrały wody Dniepru, rozlały szeroko i Tatarzy
wstrzymali swój
pochód; a gdy się jeszcze dowiedzieli, żeśmy przywdziel zbroję i
miecze na nich
naostrzyli, wrócili na swoje stepy.

Wojewodzina ręce złożyła i, wzrok podniósłszy} szepnęła:

— Dzięki Ci, Panie!

Stanisław tylko zarumienił się i posmutniał; postrzegł to wojewoda,
przystąpił
do niego z uśmiechem.

— Chciało ci się rozpocząć krwawe tany — rzekł, kładąc rękę na jego
ramieniu —

nie żałuj, że cię ominęły; doczekasz się ich kiedyś niechybnie.

a wówczas przekonasz się, jakim smutkiem oblekają duszę. Toć człek
serce Boże ma

w piersi, które pragnie miłować ludzi, nie zaś szarpać ich i gryźć. Na
krew

ludzką, choć to krew pogańska, gdy się uspokoi, patrzy zawdy z
litością i żal mu

tych, których w zapale rycerskim życia pozbawił!.. Niewesołe to tany
na polu

bitwy, ale dobro kraju zagnęła nas brać w nich udział: i biegnie rycerz
odważny z

ochotą na pole bojowe, pomny na to, że cześć dla niego wielka być
obroncą

kraju... Jednakże, kiedy Boża wola oddala od nas wojnę, to nie smucić
się, ale

dziękować Bogu należy.

Stanisław czuł słusność słów ojca i pochylił się do jego kolan na
znak uznania,

przecież nie rozjaśniła się jego twarz... Marzył o sławie, a sława,
uśmiechnąwszy się doń, w daleką, tajemniczą przyszłość odeszła.

Zrzuciwszy pancerze, przybyli zasiedli do stołu, który Wojewodzina
kazała

zastawić suto: dzbany z piwem i miodem, misy z wędliną, chleb
świeżo upieczony
ukazały się na białym obrusie; nie brakło też i przysmaków słodkich,
które lubił
wojewoda.

Pan Żółkiewski, pijąc i jedząc, opowiadał żonie o bytności w
Krakowie, a coraz
to na syna spoglądał. Naraz zwrócił się do chłopca.
— Zawiodły cię tany z Tatarami, lecz nie zawiodą z pięknymi
pannami, których
niebrak na dworze królewskim — rzekł wesoło.

Stanisław podniósł zdziwione spojrzenie na ojca, a pan Żółkiewski
ciągnął dalej:

— Kasztelan chełmski, druh mój serdeczny, zaprosił nas obu na
wesele syna i król
potwierdził to zaproszenie. Stefan Batory oddaje w małżeństwo jego
synowi swoją
bratanicę, piękną Gryzeldę, córkę Krzysztofa siedmiogrodzkiego. Już
posłowie i
księżęta zaproszeni ściągają do stolicy na oną uroczystość, która
wspaniałą
będzie podobno. Pola do tryumfów nie braknie dla waści: słyszałem o
gonitwach, o
starciach na ostre i o innych zabawach rycerskich.
Czarne oczy Stanisława ożywiły się, uśmiechnął się nawet.
— Wesele ma się odbyć w Czerwcu. Maj kwitnie na ziemi, za niedziel
trzy najdalej
wyruszymy dworno, paradnie do stolicy — dodał wojewoda. — Poślij
matko jutro po
krawców, przywiozłem jedwabi i złotogłowia, — przystojnie wystąpić
należy.
Tatarzy uciekli z myśli Stanisława, począł roić o czym innym
zupełnie: zobaczy
dwór królewski, wystąpi na turniejach, popisie się zręcznością. Toć
dziadek

opowiadał mu nieraz, jak to paradnie odbywają się owe turnieje na
dworze
królewskim; jaki to zaszczyt, gdy klęczącemu zwycięzcy niewiasta
piękna, wobec
króla jegomości, panów i rycerzy, wieńcem dębowym stroi czoło, lub
inną nagrodę
podaje... Toć w szkole, gdy na konia z rówieśnikami biegał do mety,
on zawsze
innych prześcignął, do celu trafiał zawsze, zawsze wytrącał innym
szable z
dłoni, gdy

się ścierał z towarzyszami. Nauczyciele mówili, że z niego
najcelniejszy
strzelec, najdzielniejszy jeździec, najzręczniejszy rycerz. Nie wątpił,
iż z
wieńcem na czole do Turynki przyjedzie.
Wyczekiwany niecierpliwie dzień nadszedł nareszcie. Pan kasztelan
chełmski, który
miał własną kamienicę w Krakowie, zaprosił przyjaciela, aby podczas
uroczystości
weselnej stanął u niego — ruszył tedy wojewoda z synem w drogę.
Stanisławowi nie obcym był Kraków, boć, dzieckiem będąc, jeździł
do ojca
chrzestnego, a potem na ławie w akademji niejedną dzień przesiedział,
— jednakże
rwała mu się dusza do stolicy.
O czym dawniej tylko słyszał z opowiadania, w tem wszystkim miał
teraz wziąć
udział; nie dziw więc, iż dłużyła mu się droga do Krakowa.
Wreszcie olbrzymia kolasa pana wojewody i wóz wyładowany
skrzyniami, otoczony
służbą, zatrzymał się przed kamienicą kasztelana. Uradowany z
przybycia gości,
Jan Zamojski wybiegł na ich powitanie.

Kasztelana brakło, powołał go król na zamek; uprzejmy pan Jan zastępował ojca: rozpytywał gości o podróż, czy odbyli ją bez złych przygód? ile dni jechali? Wojewoda nie szczędził odpowiedzi, i nawzajem pytania zadawał o uroczystości, na którą przybył: kto ślub będzie dawał młodej parze, ilu gości już zjechało, kogo jeszcze oczekują? Stanisław słuchał odpowiedzi z płonącymi oczyma.

— A kiedyż turniej się odbędzie? czy w dniu wesela? — zapytał.

— W dniu wesela odbędą się "maszkary", turniej następnego — odparł Jan Zamojski.

Na twarzy Stanisława odmalowało się zdziwienie.

— Zechciejcie obznajmić mnie z onymi "maszkarami" — rzekł.

— A no maszkary to także zabawa, jak turniej, jeno nie rycerska — odparł

Zamojski. — Wybieramy sobie jaki przedmiot, który przedstawić chcemy i

przebieramy się stosownie do okoliczności. Teraz na życzenie imci panny Gryzeldy

panowie przedstawiają mieszkańców Olimpu, a raczej bogów pogańskiej Grecji, którzy

wedle mniemania starożytnych na onej górze mieli stałe siedlisko.

Prócz bogów wy

stąpią inne jeszcze postaci, lecz wy Stanisławie w rzędzie bóstw miejsce

zajmiecie; macie przedstawiać Djanę, boginię łowów.

Stanisław poczerwieniał.

— Toć Djana dziewicą była...

— Dlatego wam tę rolę przeznacza imci panna Gryzelda — rzekł z uśmiechem Jan —

na gromowładnego Jowisza chyba byście się nie zdali. Nie przystoi dziewicom i

białogłowom poważnym występować publicznie w przebraniach i
oklaski zbierać,
więc imci panna Gryzelda wybrała z pomiędzy nas takiego, którego
oblicze jaśnieje
jeszcze dziewiczą młodością.

Raczej wdzięczni być powinniście mej narzeczonej, niż srożyć się na
nią za ten
wybór.

Stanisław zmarszczył czoło.

— Odstąpiłbym chętnie ten zaszczyt komu innemu — mruknął.

Gdy ojciec i syn odpoczęli po drodze, wówczas przebrawszy się
przystojnie,

podążyli na zamek, gdzie wojewoda przedstawił syna królowi. Batory
spojrzał

przychylnie na Stanisława, lecz smutek rozlany w oczach młodzieńca
nie uszedł
jego uwagi.

— Jakaż to troska ośmieliła się wystąpić na tak młode czoło? Spędź ją
waść, bom

gotów się lękać, że dzielnego ojca syn nigdy dzielnym rycerzem nie
będzie —

rzekł poważnie.

Stanisław pochylił się do kolan króla.

— Starać się będę przekonać was miłośnicy panie jak najrychlej, iż
płonne były

wasze obawy — odparł głosem wzruszonym.

Nazajutrz o godzinie, dziesiątej rano, podczas Mszy solennej w
katedrze

wawelskiej, biskup krakowski, Piotr Myszkowski, pobłogosławił
związek małżeński

pomiędzy kanclerzem i hetmanem koronnym Janem Zamojskim, a
Gryzeldą Batorówną.

Po odbytej ceremonii kościelnej, król zaprosił gości na ucztę do
siebie, a

następnie o godzinie drugiej po południu podążyli wszyscy na rynek krakowski,
gdzie odbyć się miały "maszkary."
Dla dostojnych gości przygotowane były loże,

dla mniej dostojnych ławy. Widzę zasiedli, aktorowie pośpieszyli przebrać się stosownie do swej roli.
Niebawem ukazał się na placu ciekawy orszak. Pochód rozpoczął Mikołaj Wolski, miecznik koronny, przebrany za króla murzyńskiego; uczerniwszy twarz, przybrał się w płaszcz szkarłatny, na głowie miał koronę, jechał na wozie pozłocistym; przed nim klęczała niewiasta w bieli, wsparta na tarczy, na której drogiemi kamieniami był wyryty herb rodziny Zamojskich. Za wozem króla murzynów postępował słoń, który dźwigał wysoką wieżycę; ze szczytu owej wieżycy wypadały rakiety, każda jedną ze zgłosek imienia pięknej Gryzeldy przedstawiająca. Za słońciem szły jeszcze trzy wielbłądy, na garbach których siedzieli muzykanci, grając marsza na wielkich trąbach.
Miecznik wywołał ogólne zadowolenie: zahuczały oklaski i rozległy się wołania:
— Niech żyje Marcin Wolski, król murzynów!
Wołania te uciszyły się dopiero wówczas, gdy na placu ukazał się Mikołaj Zebrzydowski, który przedstawiał siwobrodego Saturna, bożka czasu. Jechał na srebrnym wozie, ciągnionym przez dwadzieścia cztery pacholęta, które wyobrażały jedne godziny dnia, drugie nocy; więc jedne miały na sobie czarne suknie, gwiazdami złotymi

zasiane, drugie — białe, złotą opaską ujęte w biodrach.
Za Saturnem ukazali się na pięknym złocistym wozie, ciągnionym
przez orły, oboje
w płaszczach purpurowych i złotych koronach: Jowisz i Minerwa.

Wóz zdawał się być otoczony obłokami, które naśladowała błękitna
bawełna, jaką
kota były owinięte. Jowisz rzucał pioruny: te wśród kobiet okrzyki
przestrachu
wywoływały. Minerwa trzymała w dłoniach gniazdo, w gnieździe
orzeł trzepotał
skrzydłami.

Zapał widzów rósł: Jowisz i Minerwa do szczytu go doprowadzili.
Rynek huczał od
wołań, oklasków.

Wtem wszyscy ucichli... Na placu ukazał się wóz złoty dwukolny,
ciągniony przez
dwa smukłe jelenie. Na wozie tym jechała Djana w szacie zielonej, z
łukiem, w
jednej dłoni, drugą wiodła rączyce jelenie; obok niej po prawej i lewej
stronie
biegły nimfy, prowadząc na smyczy charty i ogary.

Na chwilę tylko zaległo milczenie: zachwyty, który narazie oniemiał
widzów,
pobudził ich niebawem do okrzyków.

— Chwała! chwała Djanie! — wołali wszyscy.

Jednocześnie posypał się deszcz kwiatów na piękną boginię... Ale
bogini miała
poważne oblicze, nie dziękowała uśmiechem za kwiaty; ciemne łuki
brwi ściągały
się wyraźnie. Nie ostudziło to jednakże widzów, coraz głośniejsze wołali:
— Chwała! chwała Djanie!

Bogowie Olimpu, prowadzeni przez króla murzyńskiego, okrążali po
kilkakrotnie
rynek. Za Djaną ukazał się jeszcze Kupido skrzydlaty z łukiem i
kołczanem pełnym

strzał, na wozie sześciokonnym, otoczony młodymi chłopcami, którzy
chórem
śpiewali

Kupida wyobrażał młody Joachim Osiecki, o złotej, pełnej kędziorów
głowie. Za

Kupidem, na wozie mającym kształt konchy perłowej wjechała

Wenera, licznym

dworem otoczona. Lekkie szaty bogini i dziewic ją otaczających
usiane były

klejnotami.

Zapał widzów wzmagał się ciągle. Nagle okrzyki radosne umilkły,
zgłuszone przez

inne, w których, trwoga brzmiała.

— Gore! gore! — rozległo się na rynku.

Otoczony sztucznymi obłokami Jowisz rzucił niezręcznie piorun, od
którego

zapaliły się koła, a następnie płaszcze boga i bogini... Zrzućli je oboje
natychmiast i zeskoczyli z płonącego wozu, lecz orły próżno się
szarpały, nie

mogąc zerwać łańcuchów, którymi były przyprężone...

— Gore! gore! — leciało pod obłoki. Wóz rzucał iskry, skrzydła
orłów poczynały

płonać; tłum otaczający rynek uciekał, widzę w ławach się cisnęli,
każdy chcąc

pierwszy się wydobyć. Naraz zabrzmiał głos młodzieńczy, silny:

— Za mną, panowie!

I ci, którzy w łóżach siedzieli, ujrzeli biegnącą ku płomieniom Djanę..

Silnymi

dłońmi rozerwawszy łańcuchy, krępujące przebranych za orły,

Stanisław Żółkiewski

uwolnił ich... Zachęceni jego przykładem widzowie, zerwawszy z
siebie

pośpiesznie wierzchnie suknie, rzucili je na nieszczęśliwych, ocalając
od

okropnej śmierci, drudzy po wodę pośpieszyli — i ugaszono pożar.
Po-

rządek powrócił na rynku, publiczność zasiadła napowrót ławy,
wołając, by
aktorowie dalej przedstawiali maskary. Spełniono jej życzenie.
Teraz na cześć dzielnego wojownika, króla Stefana Batorego,
wytoczono bramę
tryumfalną, na której złotymi zgłoskami widniał napis: "Ten, który
dzielność
rozumu z dzielnością dłoni łączyć potrafi, godzien jest czci i miłości
poddanych. Cześć Stefanowi Batoremu!"
Bramę ową, jaką na kołach wtoczono, poprzedzali muzykanci, którzy
grali marsza
tryumfalnego; obok postępowali rycerze z rozwiniętymi, proporcami,
na płótnach
chorągwi świeciły godła wszystkich ziem tworzących
Rzeczpospolitą... Za bramą
tryumfalną ukazała się piechota w paradnych strojach, za nią trzy
wozy: na dwóch
przednich stały obrazy, przedstawiające sławniejsze bitwy przez
Batorego
stoczone w ostatniej wojnie; na trzecim jechała niewiasta
wyobrażająca ziemię
inflancką, w zielonym wieńcu na głowie.
Na rynku zabrzmiało radosne wołanie: — Niech żyje Stefan Batory,
nasz król! nasz
bohater!
Nareszcie skończyła się uroczystość. Król zaprosił na zamek gości
przybyłych i
panów miejscowych, zbliżała się już bowiem pora wieczerzy.
Zrzuciwszy zieloną szatę bogini, Stanisław przywdział biały atlasowy
żupan i
kontusz amarantowy;

złocisty pas i karabela w pochwie mieniającej się klejnotami
uzupełniały ten
strój. Rad z tego przebrania, z czołem rozjaśnionem pośpieszył w
towarzystwie
ojca na pokoje królewskie.
Ujrzawszy wchodzących, Stefan Batory podszedł ku wojewodzie,
powitał go
uprzejmie; poczem zwrócił się łaskawie do Stanisława.
— Bogowie Olimpu upodobali sobie widocznie ciebie młodzieńcze,
bo dali ci
sposobność przekonania nas wcześniej, niż spodziewaliśmy się tego,
że w twojej
piersi bije mężne i szlachetne serce — odezwał się z uśmiechem i rękę
do
ucalowania podał Stanisławowi.
Młodzieniec zarumienił się mocno i niewyraźnie bąknął, że czyn jego
za mały, aby
na pochwałę zasługiwał, Król przemówił znowu do ojca.
— Życzeniem mojem jest, wojewodo, abyś syna nie uprowadzał ze
sobą na wieś —
rzekł głosem stanowczym — niechaj z nami tutaj pozostanie.
Przyjacielem waszym
jest kasztelan chełmski, — syn jego Jan, hetman koronny, chętnie
otoczy opieką
waszego pierworodnego i w rycerskim zawodzie nim pokieruje.
— Życzenie wasze, miłościwy panie, jest dla mnie rozkazem —
odpowiedział
wojewoda.
I pozostał młody Żółkiewski w Krakowie. Jan Zamojski ofiarował mu
w domu własnym
mieszkanie w prawiał go powoli do przyszłego zawoła.

Czas płynął, różne zmiany przynosząc w kraju, ale w życiu Stanisława
nic się nie

zmieniło. Hetman otaczał go zawsze swoją opieką, ojciec odwiedzał często; on sam od czasu do czasu jeździł do Żółkwi, by matkę i siostry ucieszyć, a tęsknotę własnego serca zadowolnić. Tak minęło lat kilka. Umarł przez ten czas król Batory, naród podzielił się na dwa stronnictwa. Przedstawicielką jednego była królowa wdowa Anna, siostra Zygmunta Augusta ostatniego króla z Jagiellonów, na czele drugiego stał ród Zborowskich. Anna popierała Zygmunta III, rodzzonego swego siostrzeńca, syna Katarzyny Jagielonki i króla szwedzkiego Jana Wazy; po jej stronie stało wielu panów, a pomiędzy innymi kanclerz i hetman wielki koronny Jan Zamojski. Druga partja głosiła za arcyksięciem austrijackim Maksymiljanem. Jedni i drudzy ustąpić nie chcieli. Stronnicy Wazy zabrali się jednakże dzielniej do swej sprawy i Zygmunt przybył pierwszy do Krakowa. Panowie przyjęli go wspaniale. Wśród szanów, do miasta wiodących, wzniesiono łuki tryumfalne z różnymi godłami i napisami; na szczycie jednej z bram widać było gniazdo, a w niem orła, który trzymał w szponach snop, herb rodziny Wazów Jan Zamojski, mając przy boku Stanisława Żółkiewskiego, ujrzawszy wdali na gościńcu do stolicy wiodącym, obłoki kurzawy, zgadując, iż kryją zbliżający się orszak królewski, pośpieszył naprze-

ciw i wprowadził Zygmunta do Krakowa.

Stanisławowi nie podobał się nowy pan: milczący, posepny, nie
przypominający
niczem rycerskiego Stefana Batorego, który w pełnym dzielności,
budzącym się do
życia młodzieńcu miał gorącego wielbiciela. Zygmunt III obudził w
sercu
Stanisława uciszony żal, że Batory nie żyje, i pewien niepokój, jakby
złe
przecucie, że nowy król przyjacielem jego nie będzie,
W bramie Florjańskiej powitał króla piękną mową biskup Goślicki.
Młody Stanisław, usłyszawszy słowa jej: "sława nad wszystkie
klejnoty najdroższa
w poważaniu bywa", ścisnął szablę i szepnął do stojącego obok
Potockiego:
— W istocie, sława to najcenniejszy klejnot; wszystkie bogactwa
oddałbym za
wieniec dębowy.
Tymczasem Goślicki mówił dalej.
"Masz wasza królewska mość u nas radę koronną mądrą i zacną, na
której gdy
przestawać będziesz, sławnie panować w państwie tem możesz...
Masz ludzi
uczonych i bogobożnych w tem królestwie. Masz hetmanów, i
wodzów, i rycerskich
ludzi ćwiczonych poczet porachowany. Chciej, a lud twój
szczęśliwym będzie;
chciej, a ty czczonym będziesz. "
Zygmunt III odpowiedział po polsku biskupowi, co wzbudziło ogólna
radość,
wszyscy wołać poczęli:
— Niech żyje Zygmunt III Waza, król polski!

Stanisław pozbył się uczucia niechęci, jakie zrodziło się w jego duszy
za
pierwszem wejrzeniem na króla, i połączył swój głos z innymi.

Nazajutrz panowie naznaczyli dzień koronacji. Odbyła się ta uroczystość spokojnie, lubo chodziły pogłoski, że Maksymiljan ciągnie z licznym wojskiem pod Kraków. W istocie, drugie stronnictwo nie chciało się uznać pokonaniem. Arcyksiążę, nie zważając, iż przeciwnik jego przyjął już namaszczenie, wkroczył w granice państwa i, rozłożywszy się obozem pod Olsztynem, oszańcował się, poczem posłał na Śląsk po posiłki, a żołnierzom swoim pozwalał tymczasem na rabunki po okolicznych wioskach. Zygmunt III pragnął tę sprawę pokojowo zakończyć, lecz na listy jego arcyksiążę milczeniem odpowiadał i do Olsztyna szturm przypuścił. Doszła do Krakowa wieść o barbarzyńskim czynie Niemców: pochwyciwszy we wsi syna Kamińskiego, kasztelana olsztyńskiego, którego niania na spacer wyprowadziła, postawili go przed zbrojnymi szeregami; naśladowali oni ponurej pamięci Henryka V, który chłopięta w zakład mu dane popędził przed sobą, gdy szedł na Głogów, chcąc tym sposobem osłabić serca obrońców miasta. Kacper Kaliński nie był mniej dzielny od mieszkańców Głogowa. Gdy, ujrzawszy synka kasztelańskiego, rycerze na murach stojący zachwiali się, nie wiedząc co czynić, Karliński chwycił za lont i sam przyłożył go do działa... Padł jego jedynak krwią oblany, lecz Olsztyn nie dostał się w ręce Niemców...

Oburzony tym niegodnym czynem arcyksięcia, król polecił Zamojskiemu, żeby wygnał go z granic państwa.

— Jadę na wyprawę przeciw Maksymiljanowi, wezmę cię ze sobą — rzekł tego wieczora hetman do Stanisława Żółkiewskiego. — Marzyłeś o starciu z Tatarami i Turkami, spotkasz się z Niemcami.

— Zapłacimy im za ich czyn nikczemny — odparł Stanisław — barbarzyńcami są: jak barbarzyńców ich ukarzem.

— Dość będzie dla nas satysfakcji, gdy wygnamy ich sromotnie z granic naszej ziemi — rzekł Zamojski.

Tegoż jeszcze dnia wysłał hetman przeciw arcyksięciu Konięcpolskiego, oraz Jakóba Potockiego, a następnego dnia razem z Żółkiewskim za nimi pośpieszył.

Towarzyszyło hetmanowi w tej wyprawie siedem tysięcy jazdy dzielnych, wyćwiczonych rycerzy i kilka tysięcy piechoty..

Dnia dwudziestego czwartego stycznia, w niedzielę rano, spotkał hetman wysłanych przodem i dowiedział się, iż nieprzyjaciel znajduje się o pół godziny drogi, tuż pod granicą szląską.

— Odpocznijemy kilka godzin, a potem rozprawimy się z natrętnikiem — rzekł hetman.

— Czy nie byłoby lepiej potyczkę do dnia następnego odłożyć? — odezwał się jeden z pułkowników. — Dzień krótki, mrok pocznie niebawem zapadać.

Stanisław rzucił mu posepne wejrzenie: on byłby rad w tej sekundzie polecieć na niemca; czekał niespokojnie, co wódz odpowie.

Zamojski dobył z wolna wielki swój zegarek z kieszeni.
— Jeszcze pięć godzin pozostaje nam do nocy, zdążymy przeto
rozprawić się z
wrogiem — rzekł stanowczym głosem.
Poczem zaiął się ustawieniem szyków Na lewem skrzydle kazał
stanąć
Karnkowskiemu. ze swoją jazdą, Jakóbowi Potockiemu i
Stanisławowi Żółkiewskiemu,
któremu polecił także spory hufiec pod opiekę. Prawą stronę zajęli
Piotr
Myszkowski, Stefan Grudziński i Stanisław Bykowski. Pośrodku
umieścił sam wybór
woiska i pięć szeregów chorągwi, na których czele sam stanął.
Tak szyki sprawiwszy, wysłał następnie Hołubka, aby dał znać
arcyksięciu
Maksymiljanowi, iż go oczekuje.
Hołubek pośpieszył natychmiast. Żółkiewski westchnął za
odjeżdżającym: chętnie
byłby go zastąpił, pałając ochotą jak najrychlejszego spotkania
wrogów.
Minęło długich chwil kilka, ani Hołubek, ani Niemcy nie ukazywali
się. Stanisław
wrzał z niecierpliwości. Hetman niespokojny chciał posłać właśnie
nowy oddział
na zwiady, gdy na drodze wiodącej do wzgórza, w pobliżu którego
stali, ujrzał
kilku towarzyszków Hołubka, pędzących w nieładzie. Niebawem owi
zdała widziani
przypadli do wojewody i oznaj-

mili, że Hołubek padł przeszyty trzema kulami nieprzyjacielskimi.
Z brwią zsuniętą w posepnem milczeniu przyjął hetman tę złowróżbną
nowinę.

— Co robią Niemcy? — zapytał.
— Idą ku nam — odparli rycerze.

Jak gdyby na potwierdzenie tych słów, poblizki pagórek zaczernił się
w tej
chwili od ludzi: rzekłbyś, iż ogromne mrowisko wpełzło na szczyt
jego.

Hetman kazał podać sobie lunetę i dojrzał Maksymiliana na roslým
koniu,

otoczonego rycerstwem niemieckiem i panami polskimi, którzy go
popierali.

— Pójdziemy ich powitać — rzekł, oddając Stanisławowi lunetę.

Ciemne oczy młodego rycerza ożywiły się.

Prawemu i lewemu skrzydłu wódz kazał wdrzeć się na wzgórze i na
niemców

uderzyć, — a gdy te pięć się poczęły po niewielkiej pochyłości i
uwagę

arcyksięcia na siebie ściągnęły, wówczas skinął na hufce środkowe i
poprowadził

je naokół wzgórza.

Niebawem na szczycie rozległy się krzyki i strzały, dające znać, iż
walka się

rozpoczęła. Śmiało natarli stronnicy Zygmunta III, lecz niestety
niemców były

przeważające siły, rychło poczęli brać górę Spostrzegłszy to,
Stanisław

Żółkiewski w zapale szlachetnym, pełen zawsze oburzenia za
postępek niemców z

synem Karlińskiego, zapominając o sobie, rzucił się tam, gdzie
najliczniejsze

były sze-

regi nieprzyjaciół, i tak dzielnie nacierać na nich począł, iż cofnęli się.

Wtem

niemieckie działo zahuczało i kula zdradziecka strąciła z konia
młodego

bohatera... Szczęściem jeden z towarzyszków Stanisława, Zerski,
spostrzegł to,

pochwycił go w ramiona i, uniósłszy z pola bitwy, złożył w bezpiecznym miejscu.

Żółkiewski otworzył oczy.

— Wracaj do bitwy — szepnął.

— Tam ja nic nie znaczę jeden — odparł Zerski — ciebie uratować mogę. Żółkiewski

nie słyszał odpowiedzi: omdlał powtórnie. Zerski począł go trzeźwić.

Tymczasem od wzgórza dolatywały wrzaski, zdradzające, że walka jeszcze się

toczy. Cucąc towarzysza, Zerski nasłuchiwał niespokojnie, przecuciem chciał

odgadnąć, na czyją stronę szala zwycięstwa się chyli. Naraz rozległo* się

wołanie:

— Niech żyje Jan Zamojski!

Słowa te ocuciły zemdłonego: otworzył oczy, błydy uśmiech zjawił się na jego

ustach.

— Bogu chwała... — szepnął.

— Uciekają łotry; widzę, jak w nieładzie zbiegają ze wzgórza — mówił Zerski.

Uciekali istotnie w najwyższym nieładzie: Jan Zamojski, widząc, iż hufce

Maksymiljana nie ustępują, wdarł się z przeciwnej strony na wzgórze i dzielnym

natarciem na wroga złamał go odrazu.

Spostrzegłszy porażkę swoich, Maksymiljan szukał w ucieczce ratunku i schronił

się za granicę, na ziemię

szląską, do miasta Byczyny. Pogonił jednak aż tam za nim hetman i szturmować

miasto począł.

Rozległ się głuchy łoskot siekier, walących w bramy, wódz kazał działa

przytoczyć; już puszkarze z lontami stanęli, gotowi dać ognia, — gdy na wałach

miasta ukazało się kilku panów, poprzedzonych przez żołnierza, niosącego białą

chorągiew. Ujrawszy ten znak pokoju, Zamojski zawiesił szturm i rozkazał

zapytać, czego życzy sobie od niego arcyksiążę.

— Oznajmić wam miłościwy panie, iż, jeśli o to idzie, aby zrzekł się tytułu

króla, chętnie to uczyni — rzekł jeden z poselstwa.

— Gdy arcyksiążę odda się w niewolę, wówczas spiszemy warunki pokoju — odparł

hetman.

Po tem żądaniu długo odpowiedzi nie było. Zniecierpliwiony wódz kazał przyspuścić

powtórny szturm: znowu rycerze porwali za siekiery i bramę rąbać poczęli.

Wówczas rozwarły się wrota, a w nich ukazał się arcyksiążę, otoczony panami:

postąpili oni ku hetmanowi i oddali mu szpady.

Z powagą i szacunkiem przyjął ten hołd poddania się Zamojski;

poczem panów

niemieckich uwolnił, Maksymiljana zaś powiózł do Krasnegostawu, gdzie miał

własną posiadłość, i w zamku swoim go umieścić. Przebywał tam arcyksiążę jako

jeniec, dopóki król Zygmunt nie pozwolił mu opuścić więzienia, za przyrzeczeniem, iż nie będzie czynił więcej zabiegów o koronę

polską.

Tymczasem Stanisław Żółkiewski leżał ciężko, chory; towarzysze przenieśli go do

pobliskiej chaty wieśniaczej, a po kilku tygodniach, gdy czuł się nieco lepiej,

przewieźli go do Turynki, gdzie matka i siostry otoczyły go staranną opieką.

Lecz rana była głęboką, goiła się zwolna; młody rycerz niecierpliwił się, że siedzi beczynny, gdy inni się biją. Hordy tatarskie wpadły na Podole i Ukrainę, aż pod Lwów rozszerzyły swoje spustoszenia, a on nie mógł pośpieszyć na obronę swojej ziemi. Z namowy Austrii kozacy, napadłszy na Tarcję, wywołali smutny odwet: Skinderbasza, przez sułtana wysłany z licznym oddziałem, mahometan zbliżył się nad Dniestr, spalił Śaiatyn i wiele wsi, — a on znowu nie mógł spełnić gorących życzeń, zrodzonych jeszcze w sercu dziecka. Gdy do Turynki przyszła wieść, że hetman Za mojski powołuje rycerstwo na Turków, Wojewoda Żółkiewski, szablę przypasawszy, przyszedł syna pożegnać i rzekł do niego:
— Jeden z nas iść powinien walczyć: ty nie możesz, ja pójdę. Oczy Stanisława zaszły mgłą smutku... Pocałował go ojciec w czoło.
— Nagrodzisz ty jeszcze czas zmarnowany w chorobie; dla ciebie życie rozpoczyna się dopiero, dla mnie już schodzi — dodał, chcąc go pocieszyć — nie zazdrość mi tej wyprawy.

W istocie, rana niezadługo się zagoiła, siły szybko wracać zaczęły młodemu; lecz gdy mógł już dosiąść konia, z Turcją pokój zawarty został... Wojewoda Żółkiewski powrócił szczęśliwie z wyprawy i przywiózł do domu radosną nowinę, że Kraków gotuje się do godów weselnych, bo król Zymunt III wysłał poselstwo do Austrii, prosząc o rękę wnuczki cesarza Ferdynanda I-go. Powiedział

też synowi, iż hetman dopytywał o niego i oczekuje niecierpliwie jego powrotu do Krakowa.

— Gdy odpocznę po trudach obozowych, pojedziemy razem do stolicy, — zakończył swoje opowiadanie.

Obietnica ta ucieszyła mocno Stanisława, począł roić o wyjeździe.

Rojenia te

spełniły się wkrótce. Hetman powitał z radością towarzysza wyprawy i zaraz

wciągnął go do zajęcia.

Znowu czynne wiódł życie młody rycerz: wyprawy wojenne,

wewnętrzne sprawy

państwa, zebrania dworskie je przeplatały. Zamojski cenił go coraz więcej i jako

następcę swego Zygmuntowi III wskazywał.

Rósł też w zaszczyty młody Żółkiewski, król uczynił go kasztelanem lwowskim, a

potem polnym hetmanem. Ożeniwszy się z panną Zebrzydowską, Stanisław wybudował

sobie w sąsiedniej Turynce wsi Żółkwi, którą mu ojciec oddał, zamek z basztami i

rodzinę własną tam umieścił. Pod jego opieką wieś podniosła się wkrótce do

znaczenia miasteczka.

Ciągłe wojny, jakie kraj toczył z sąsiadami za panowania Zygmunta III, wyrywały

ustawicznie rodzinie Stanisława Żółkiewskiego, lecz coraz głośniejszem czyniły

jego imię. Przekonawszy się kilkakrotnie, jak dzielnym jest wojownikiem, król

Zygmunt po śmierci Jana Zamojskiego uczynił go hetmanem wielkim koronnym.

Piastując dostojny ten urząd, Żółkiewski doczekał się sędziwego wieku. Począł

teraz miłować ciszę domową, ognisko rodzinne: coraz chętniej
śpieszył z obozu do
swego zamku. Najlepiej lubił przesiadywać w izbie gościnnej przed
płonącym na
kominku ogniem. Wtedy, otoczony własną działawą, wspominał swoje
lata pacholęce,
opowiadania dziadka i marzenia własne, które wywoływały zwykle
uśmiech na usta
starca, Wstrząsał wówczas głową i mawiał:
— Nie spełnił obietnicy Henryk Pobożny, nie zginąłem w obronie
krzyża;
przyjdzie mi pono na łóżku, otoczonemu rodziną, dokonać spokojnie
żywota, bez
wrzawy bitwy, bez huku dział...

II.

Było to roku . W Żółkwi wypadł właśnie dzień uroczysty: imieniny
hetmana.

Cała wieś ze-

szła się do dworu, aby złożyć dary swemu ojcu i dobroczyńcy, — tak
zwali kmiecie
Stanisława Żółkiewskiego. Siwy hetman czekał ich na stopniach
ganku z synem, już
dzielny młodzieńcem, z żoną i córkami.
Stare niewiasty i młode dziewczęta pochylały się do kolan hetmana: ta
kobietkę z
młodziutkiemi kurczętami stawiała u jego nóg, tamta grzyby suszone,
inna jaja
świeże... Co miały, przyniosły zpod strzechy słomianej, a hetman
dziękował z
uśmiechem i hojnie za dary się odwdzięczał. Odchodziły
rozzewnione jego
dobrocią i szeptały:

— Bodajby setki lat doczekał. Siwi starcy wołali drżącymi głosem:
— Żyj nam długie lata, wielki hetmanie!
Młodszy chórem zawodzili pieśń, którą sami na cześć jego utworzyli.
W oczach pani Żółkiewskiej i córek błyszczały łzy radości, rumieniec
zadowolenia
oblewał twarz syna hetmańskiego: wszyscy czuli się szczęśliwi w tym
dniu.
Wtem wzrok obecnych ku gościńcowi się zwrócił, — do zamku
dobiegł tentent rumaka
i posepnem echem odbił się w sercu każdego.
— Ktoś śle życzenia przez posła — rzekł hetman, zwróciwszy się do
żony.
Kmiecie, krzyknawszy raz jeszcze:

— Żyj nam długo, hetmanie! — rozchodzić się poczęli. Goniec dotarł
właśnie do
bramy zamkowej, ustąpili mu z drogi.
Zwolna ku wsi podążyli.
Tymczasem jeździec, z konia zeskoczywszy, podał hetmanowi papier
pieczęcią
opatrzoną.
— Od miłościwego króla Zygmunta III — rzekł, chyląc się do nóg
starca.
Hetman skinął ręką na żonę i córki, by się oddaliły, i siadłszy na
ławce
rozłamał pieczęć. Syn i poseł wpatrywali się w niego ciekawie.
Zbiegające się
coraz liczniej zmarszczki na jego czole wskazywały, że odebrał ważną
wiadomość...
Czytał zwolna, uważnie, nareszcie opuścił rękę z papierem i,
podniósłszy wzrok
zamyślony w jasne niebiosa:
— Ot i spełni się — szepnął. — A potem dodał: — Wola Twoja,
Panie! — i głowę
pochylił.
Syn przystąpił bliżej.

— Król wojnę zapowiada? — zapytał nieśmiało. Hetman spojrzał na niego z miłością.

— Pójdziemy, chłopcze; — odparł po chwili: — gdy w boju legnę, zastąpisz mnie rodzinie.

Syn przyklęknął u nóg jego, a starzec, położywszy dłoń na jego ramieniu, odezwał się głosem wzruszonym:

— Panie! błagam Cię, abyś otoczyć go raczył tarczą Swoją cudowną, gdy pociski wroga będą hu-

czyć koło jego młodej głowy, abyś go matce zachował...

Po chwili obaj wrócili do równowagi: hetman przypomniał sobie posła, prosił go,

by siadł obok niego, synowi z drugiej strony miejsce wskazał i mówić im począł w skróceniu treść listu.

— Konstanty Mohyła, gospodar mołdawski, zaniedbał posłać Turkom zwykły haracz,

za to nasłał na niego sułtan Tatarów. Z tatarami połączyli się Wołosi; gospodar

ich Stefan Tomza zajął Multany, Mohyła uciekł do Krakowa i wezwał pomocy. Ujął

się za pokrzywdzonym Stefan Potocki i, nie pytając króla o pozwolenie,

uzbroiwszy hufiec, ruszył na Multany razem z Mohyłą, który był jego szwagrem. Za

Prutem opadło ich niespodzianie trzydzieści tysięcy Tatarów; po krótkim boju rozbroili

jednych i wzięli ich do niewoli, drugich pomordowali. Pośpieszyli pomścić

krzywdy Potockiego dwaj jego przyjaciele Wiśniowiecki i Korecki. Obaj za tamtego

przykładem, nie pytając o pozwolenie króla, uzbroili także własnym kosztem hufce, lecz również rozbici zostali. Wiśniowiecki poległ, a Korecki do niewoli pojman. Sułtan, nie poprzestając na tej zemście, wypowiedział jeszcze królowi Zygmunтови wojnę.
— Miłościwy król życzy sobie, abym podjął się obrony zagrożonej Rzeczypospolitej
— mówił hetman — gotować się trzeba do wyprawy.
— Weźmiecie mnie ze sobą, ojcze? — zapytał młody Żółkiewski.

— Rad będę, iż pod moją tarczą pierwsze kroki rozpocznesz — odparł pan Stanisław.
Chłopiec objął jego kolana, a starzec wolnym krokiem zwrócił się do komnat niewieścich.
Minęło dni kilka pełnych niepokoju dla mieszkańców zamku; hetman wyjeżdżał ciągle z domu do sąsiadów, nareszcie pewnego wieczoru, wróciwszy z wycieczki, rzekł do syna:
— Jutro ruszamy do Krakowa, tam rycerstwo ciągnie powoli. Nazajutrz rano hetmanowa, przywoławszy jedynaka do siebie, podała mu szablę pradziadowską i, nakreśliwszy krzyż na jego czole, rzekła:
— Bądź mężnym i zacnym.
A gdy chłopiec osunął się wzruszony do jej nóg, wówczas złożywszy ręce, modliła się chwilę, poczem przycisnęła go do piersi i dodała ciszej:
— A bez potrzeby nie ściągaj na siebie niebezpieczeństwa.
W bliskości złania się rzek Dniestru i Marochawy leży miasteczko Basza. Tam hetman wielki koronny Stanisław Żółkiewski rozłożył się obozem z niezbyt

licznymi hufcami. Towarzyszyli mu w wyprawie trzej dzielni i zacni ludzie:

Konieczpolski, Krzysztof Zbarazki i ksiądz Szymon karmelita.

Zbadawszy siły nieprzyjaciela, hetman spostrzegł, iż zamała ma liczbę wojska,

aby bój otwarty mógł stoczyć; postanowił przeto porozumieć się z królem,

a rycerstwu pozwolił tylko na pojedyncze utarczki, niespodziane i podstępne.

Rycerze szemrać poczęli.

— Każę nam skradać się na nieprzyjaciela jak wilkom — szeptali. —

Czyżby nie

było chlubniej rozwinąć na polu szyki i wyzwąć wroga głośno?

Szemrania te dochodziły Żółkiewskiego, jednakże, przeświadczony w głębi serca,

iż są niesłuszne, rozpoczął traktowania o pokój z Turkami. Skinder-Basza, główny

wódz sił nieprzyjacielskich, nie odpychał stanowczo układów, lecz coraz

trudniejsze do spełnienia stawiał hetmanowi warunki. W miarę, jak na jedne się

zgodził Żółkiewski, drugie jeszcze uciążliwsze obmyślał. Żądali Turcy wyraźnego

odstąpienia Wołoszczyzny i Chocimia, w dodatku spalenia miasta Berszedy, z

którego kozacy czynili najczęściej na nich wycieczki.

Miasto to było własnością Krzysztofa Zbarazkiego. Dowiedziawszy się o żądaniu

Skinder-Baszy, Zbarazki, nie chcąc, by przez niego ojczyzna była wystawioną na

groźne niebezpieczeństwo, wysłał z obozu jednego z pomiędzy swoich, kazawszy mu

podpalić Berszedę.

Spisawszy żądania Turków, Żółkiewski posłał je królowi. Przedstawił smutne swoje

położenie z powodu braku sił, oznajmił, iż nie widzi innego sposobu
wyjścia, jak
pokój zawrzeć. Poczem, kazał otrą. bić po obozie rozkaz, aby pod karą
śmierci,
dopóki

na list jego nie przyjdzie odpowiedź od króla, nikt nie ważył się
zaczepiać
nieprzyjaciela.
Rozkaz ten podniecił bardziej jeszcze niezadowolenie rycerstwa.
Szemrania
wzrosły; przyszło do tego, iż niektórzy ośmielali się posądzać
hetmana, że na
starość opuściła go odwaga.
Syn i synowiec zacnego wodza posłyszeli raz, jak haniebnie rycerstwo
obmawia
tego, którego oni obaj nietylko kochają, lecz i czczą zarazem;
zawrzała w nich
krew i pobiegli do hetmana błagać go, by dany rozkaz cofnął;
powiedzieli mu, o
co jest oskarżony.
Starzec wysłuchał ich spokojnie.
— Nie bez długiej rozwagi wydałem rozkaz, dla nędznej obmowy nie
cofnę go —
odezwał się po chwili. — Kto od lada nagany na swój czyn chwieje
się i zmienić
gotów zdanie, ten daje dowód, że jeszcze nie dojrzał, by kierować
innymi lub
samodzielnie działać. Spójrzycie na moje siwe włosy i ufajcie mi;
niejedno ta
głowa widziała, wie przeto, co można, a czego nie można.
Potocki chciał jeszcze coś rzec, lecz jakieś szmery dały się słyszeć u
wnijścia
do namiotu, więc pośpieszył przekonać się, co znaczą. Do namiotu
wszedł
Krzysztof Zbarazki.

— Poseł miłościwego króla Zygmunta żąda was widzieć, wodzu! —
rzekł.

— Niech wnijdzie — odparł hetman.

Niebawem poseł stanął przed nim i podał mu papier pieczęcią
opatrzoney. Żółkiewski, rozłamawszy pośpiesznie pieczęć, przebiegł
pismo oczyma.

Syn i siostrzeniec, którzy śledzili niespokojnie wyraz jego twarzy,
dojrżeli, iż
czoło starca pokryło się bruzdami. Po chwili podniósł na nich
spojrzenie.

— Niech jeden z was wywoła rycerstwo z namiotów i zbierze je w
jedno miejsce —
rzekł.

Niezadługo hetman wyszedł z namiotu. Dwóch pacholków stało u
wnjścia z płonącymi
pochodniami, skinął na nich i postąpił w głąb obozu. Jaskrawy blask
oświecał

dostojną, pełną powagi twarz zasłużonego męża, siwą jego głowę
różową łuną

oblewając. Syn z uwielbieniem na niego spoglądał, a oczekujący
rycerze uczuwali

w sercach skruchę, iż mogli na chwilę zwątpić w rozum i odwagę tego
człowieka, —

tyle siły i pewności siebie, tyle spokoju było z tej całej postaci.

Zatrzymawszy się przed zebranymi, Żółkiewski powiódł po nich
smutnem

spojrzeniem, poczem odezwał się dźwięcznym głosem:

— Otrzymawszy od miłościwego pana naszego króla Zygmunta Wazy
odpowiedź na moje

rady, przeczytać je postanowiłem głośno, abyście wiedzieli, że co
uczynię jutro,

uczynionem będzie z woli króla i panów, nie z mego natchnienia.

To powiedziawszy, podniósł papier do oczu i począł czytać:

— "Przez wszystkie czas panowania mego upatrywać mogłem, iż
Waszmość na tym
urzędzie, na którym za pozwoleniem boskiem posadzony zostałeś,
dobrześ Ojczyźnie
naszej służył; że od młodości swej przez sprawy rycerskie słałeś sobie
Waszmość
do nieśmiertelności drogę; że. na urzędzie hetmańskim działałeś
nietylko jako
wódz biegły; lecz jak żołnierz odważny; żeś zawsze czujny i mężny
sprawił wiele
dla sławy imienia polskiego, a nie uczynił nic, z czego by
Rzeczpospolita jaki
szwank odnieść mogła... Zaczem życzę waszmości, abyś, nie
opuszczając
Rzeczpospolitej, służył jej dalej wytrwale i wiódł ją ku chwale na pole
marsowe
z nieśmiertelną sławą narodu całego i skończył chwalebnie swoje
posługi, — za co
oświadczymy wam po powrocie do kraju łaskę i szcudroblliwość
swoją, a Bóg, dawca
wszelkiego dobra, błogosławieństwem swoim was nagrodzi.
W nagłej potrzebie nie omieszkacie nas powiadomić, a pospolite
ruszenie ku
pomocy waszej zwołaniem będzie. Śpieszcie tymczasem do boju. "
List wywołał ogólną radość.
— Niech żyje Zygmunt III Waza! — rozległo się w obozie wołanie.
— Niech żyje Stanisław Żółkiewski! — dodawali drudzy.
Hetman kazał udać się wszystkim na spoczynek, a nazajutrz wstać o
świcie i zająć
się przygotowaniami do pochodu, sam zaś wrócił milczący do
namiotu.

Ulegał woli królewskiej, lecz miał przekonanie, że wyprawa, na którą
Zygmunt go

posyła, ani jemu, ani ojczyźnie stawy nie przysporzy; to też, zanim
udał się na
spoczynek, przygotował piśmienną odpowiedź dla króla, którą chciał
wysłać
nazajutrz przez jego posła.
— "Najjaśniejszy królu, panie mój miłościwy!" — tymi słowy
rozpoczął ów list. —
"Nigdy baczny na siebie, troskliwy ja zawsze byłem o całość
powierzonego mi
rycerstwa i o cześć tego dostojenstwa, które z łaski waszej królewskiej
mości
dzierzę. Lecz dziś, gdy tak wyraźną czytani wolę waszej królewskiej
mości, gdy z
rozkazem króla godzą się wojska żądania, gdy wszyscy wojny pragną
— minęła
chwila przełożeń: słuchać tylko i bić się należy... Nie tajne mi są
niebezpieczeństwa, na które z garstką moich się narażam: drzę o ten
kwiat
młodzieży; nigdy więcej lęklawie nie wystawiałem piersi moich
nieprzyjacielowi... Bogu tylko świadomo, jakie będzie wynijście z tej
wojny...
Wojna z Turkiem nie jest igrzyskiem. Oby królestwo nie rozbiło się o
tę skałę;
potężniejszych sił i dojrzałych przygotowań podobna impreza
wymaga. Ale późno
już o tem. Mając wkrótce stanąć przed najwyższym sądem Boga
mojego, powtarzam,
żem waszej królewskiej mości zawsze wiernie służył. Jeślim w czem
powinności
mojej nie dopełnił, to racz królu ułomności mojej darować, a synowi
mojemu,
jeśli go los wojny ocali, racz być miłościwym panem. Niech Bóg
waszej
królewskiej mości da długi wiek

dla rozmnożenia chwały Jego i dobra Rzeczypospolitej, a po tym
żywocie niech was
przyjmie na mieszkanie, gdzie się żyje z Synem i Duchem świętym.
Amen.

Wierna rada i najniższy sługa Stanisław, kanclerz wielki koronny.
Nazajutrz równo ze świtem słońca wojska posunęły się ku rzece
Dniestrowi. Pięć
tysięcy tylko rycerstwa wyborowego miał ze sobą stary hetman, prócz
tych jeszcze
dwa tysiące kozaków. Nad pojedynczymi oddziałami czuwało kilku
dzielnych wodzów
jak: Koniecpolski, Zbarazki, Tyszkiewicz, Potocki, Struś, książę
Korecki,
Bogowski i Szembek. Synowi swemu i siostrzeńcowi zapowiedział
hetman, iż mają go
nie odstępować.

Wiadomość, że wojska chrześcijańskie posunęły się naprzód, dobiegła
prędko do
obozu tureckiego i sułtan wysłał podjazd z Tatarów złożony
naprzeciw hetmana.

Zaraz za Dniestrem spotkały hufce nieprzyjaciela i starły się z nim.
Walka

niedługo trwała; złamani napastnicy cofnęli się. Mnóstwo Tatarów
poległo w tem

wstępem starciu, garstka tylko uszła nieznanymi manowcami do
Skinder-baszy,

przynosząc mu niepomyślną wieść o poniesionej porażce.

Zmęczone stoczoną potyczką wojsko potrzebowało odpoczynku,
trzeba też było

rannych pozbierać i opatrzyć, poległych pogrzebać. Krzątał się teraz
najczynniej

ksiądz Szymon: opatrywał rannych, spowiadał umierających,
błogosławił poległych.

Niebawem

wszyscy chorzy umieszczeni zostali wygodnie na wozach, a zdrowi otoczyli ogniska. Dla hetmana rozbito namiot, stary wódz usunął się do niego i w samotności rozmyślał. Zamek w Żółkwi, żona i córki stanęły mu przed oczyma: żegnał je w myśli, pewien, iż nie powróci z tej wyprawy do doma. Tymczasem wieczór powoli zapadał i noc otoczyła ziemię; rycerstwo nie śpieszyło mimo to na spoczynek, — udzielali sobie wrażeń ze stoczonych potyczki, roili o nowych. Wtem głuchy tentent skłócił tę ciszę; hetman zbudził się z zamyślenia i wzrok utkwiał w ciemną dań, którą przez odchylone płótna swego namiotu mógł widzieć. Chwilę nasłuchiwał, poczem powstał, aby się dowiedzieć, co znaczy ten hałas, — gdy do namiotu wszedł syn jego. — Gospodar Gracjan opuścił Turków i chce z wami, panie ojczy, się połączyć — rzekł. Siwe brwi hetmana ściągnęły się. — Nie lubię zdrajców — odparł — wolałbym inną pomoc... Wołosi to sprzymierzeńce niepewne; gdy powodzenie nas opuści, gotowi powrócić do Turków. — Więc cóż mam odpowiedzieć? — zapytał młody. Chwilę namyślał się hetman. — W położeniu mojem nie mogę go odsyłać — odezwał się wreszcie; — gdy nieszczęście nas spotka, gotowiby powiedzieć, że sam je ściągnąłem. I poszedł powitać hospodara, lecz powitanie to było chłodnem.

Obszedłszy następnie ogniska, hetman zapowiedział rycerstwu, iż nazajutrz

pociągnie pod Cecorę, gdzie obóz rozbije i poczyni przygotowania do
otwartego
boju. Wszyscy byli radzi z tego postanowienia.
Pogodny ranek obudził nazajutrz wojsko. Rycerstwo poczęło się
krzątać koło
przygotowań do marszu; przywdzieli zbroje, oczyścili konie i dosiedli
je, poczem
ustawiać się poczęli.
Przez ten czas niebo się jakoś zamroczyło, wiatr zerwał się silny i
począł
targać rozwinięte chorągwie. Nie zważał jednak hetman na te
przeszkody i dał
znak do pochodu. Ruszono wolno z miejsca.
Wtem ognisty znak przeleciał po czarnem sklepieniu nieba, a potem
przeraźliwy
huk wstrząsnął powietrzem, konie dęba stanęły...
— Jezus, Marja, Józef! — krzyknęło kilku. Inni żegnać się poczęli i
szeptać:
— Zła wróżba.
Piorun strzaskał w kawałki niesiony przed hetmanem
buńczuk...Żółkiewski
zatrzymał konia, obejrzał się na strwożonych.
— W mocy Boga wszystko — rzekł. Poczem głosem silnym
zaśpiewał:

"Bogarodzica dziewica
Bogiem sławiona Maryja,
U twego Syna hos podyna
Matko wybrana!

Ziści nam spust winam!
Kiryje elejson."

Rycerstwo powtórzyło za nim słowa starej modlitwy, otucha wróciła
do serc; hufce

posunęły się w porządku za hetmanem. Wicher wył, grzmoty huczały,
lecz pieśń
pobożna leciała pod obłoki i powoli zagłuszyła głosy burzy, która
przeszła w
ulewę; z chmur potoczyły się strumienie wody.
Strudzone marszem i zmoczone do nitki dotarło wojsko na pola
cecorskie. Hetman,
zsiadłszy z konia, rozkazał pachołkom rozniecić natychmiast ogień i
rozbić
namioty. Gdy rycerstwo trochę odpoczęło, wysłał z małym podjazdem
Odrzywolskiego, aby dowiedział się, jaka jest liczba nieprzyjaciela i
którą
zbliża się ku nim stroną; innych posłał po żywność, pozostałym
rozkazał sypać
szańce wokół namiotów. Sam usunął się do siebie razem z wodzami i
księdzem
Szymonem, by radzić, czy pierwszemu napaść na nieprzyjaciela, czyli
czekać na
zaczepkę.
Hospodar wołoski pozostał z rycerstwem, które zajęło się sypaniem
szańców; zrazu
przypatrywał się im w milczeniu, potem szydzić począł, że jak prości
pachołcy
pracują rydlami.
Wtem pomiędzy rozpoczęte szańce wpadł Odrzywolski.
— Turcy już rozbijają naprzeciw nas namioty — rzekł głosem
zdyszczanym — liczba
ich ogromna.
Niebawem nadciągnęli ci, którzy po żywność wysłani zostali, i
potwierdzili
przyniesioną wiadomość.

Więc rycerstwo pracowało coraz gorliwiej: zanim noc zapadła, szańce
były
skończone.

Turcy też nie próżnowali: wznoszące się naprzeciw obozu
Żółkiewskiego wzgórza
zabieły się powoli od rozbitych na nich baraków. Rzekłbyś, iż cudem
wyrosło
tam miasto ludne, złożone z domków bielonych. Pośrodku jaśniał
czerwony namiot
sułtana, niby krwią chrześcian oblany; przed nim stały cztery
olbrzymie słonie z
wieżami, na których znajdowały się dzwony. Dźwięki tych dzwonów
oznajmiały
Turkom godziny modlitwy, spoczynku i posiłku.
Moc proporców różnobarwnych powiewała wśród tego płóciennego
miasta, lśniło ono
od złota, gdyż namioty baszów stroiły półksiężycy złociste, godła
tureckiej
wiary.
Po nocy spokojnej, w której rycerstwo pokrzepiło snem swoje siły,
hetman
pozwolił pojedynczym oddziałom stoczyć kilka potyczek.
Puścili się na pole ze swymi oddziałami Koniecpolski, Struś i
Szembek, i wrócili
chwałą okryci, odparłszy wysłane przeciw sobie podjazdy tureckie.
Zachęcen
powodzeniem towarzyszków, inni uprosili hetmana, aby pozwolił im
także swoich sił
spróbować, — a gdy wódz oporu nie stawił, zapuścili się aż pod same
wzgórza i
tak zapalili się do boju, iż mimo mroku zapadającego nie wracali do
obozu.
Hetman miał zamiar następnego dnia walną bitwę stoczyć, więc
chciał, by
rycerstwo dobrze całą noc odpoczęło,

rozkazał przeto trąbą dać hasło, wzywające do powrotu walczących.
Pośpieszyli

natychmiast na jego wezwanie. Wracali zadowoleni: ani jeden nie poległ, kilku tylko było rannych, tych prowadzili ze sobą. Mieli zamiar iść wprost do hetmana, by zdać sprawę ze swych czynów, lecz u bramy szanćów spotkał ich gospodar Gracjan, jak zawsze lekceważąco uśmiechnięty.
— Jak niańka niemowlę, trzyma was hetman na pasku, a wy słuchacie go, jak niedołęgi — rzekł. — Zazdrości wam, żeście młodzi i dłużej wytrwać możecie, niż on.

Słowa te rozbudziły na nowo niezadowolenie rycerstwa. Z zachmurzonymi twarzami stanęli przed wodzem. Jeden, wystąpiwszy naprzód, hardo się odezwał: — W imieniu całego wojska przemawiam do was wodzu: nie na to dane nam są dzielne ręce, nie na to oręż do boku przypasaliśmy, by patrzeć na nieprzyjaciela, lecz, żeby z nim się potykać. Nie brońcie nam walczyć, jeśli sami nie chcecie. Nie odwołujcie nas z pola bitwy.

Siwy hetman spojrział z wymówką.
— Zamiarem moim jest powieść was jutro samemu na bitwę; lecz pomnijcie młodzi, że jeśli karności i zaufania do mnie przestrzegać nie będziecie, to uczynicie siebie słabymi i wróg was obali — odparł łagodnie.

Rycerze oddalili się, niezadowoleni z siebie i na Gracjana rozżaleni.
— Jak zły duch ciągle ten Wołoch złe uczucia w nas podnieca — mówili.

Udali się markotni na spoczynek; niebawem obóz cisza zaległa. Nazajutrz sam hetman ustawił wojsko do walnej rozprawy z nieprzyjacielem.

Uszykował je we dwie linje; jednej od drugiej kazał w pewnej odległości postępować; konnicę otoczył działami i wozami, pomiędzy którymi miała posuwać się piechota. Wołosi znajdowali się wśród konnicy. Gdy wszystko było gotowe, hetman objechał hufce, poczem odezwał się głosem silnym i pewnym:
— Wolno, ostrożnie ku pagórkom!
Ruszono ku płóciennemu miastu... Żółkiewski prowadził linję dalszą, obok niego jechali syn i synowiec, za nim jego hufiec, poczem oddziały Koniecpolskiego, Potockiego i Szembeka. Gracjan znajdował się w pierwszej linji, z nim Struś, Szembek, Korecki, Tyszkiewicz. Ranni zostali w obozie pod opieką księdza Szymona i straży.
Wbrew rozkazom hetmana, gospodar wołoski skinął na swoich i pierwsi wysunęli się z za wozów, którymi hetman osłonił rycerstwo. Rogojski ze swoim pułkiem pogonił za Wołochami. Popędzili ku wzgórzom.
Spostrzegli Turcy biegnące osobno dwa oddziały

i natychmiast pośpieszyli naprzeciw, a dopadwszy, otoczyli je ciasnem kołem.
Zaświstały strzały, pułk Rugojskiego znikł z oczu towarzyszków.
Widząc grożące mu niebezpieczeństwo, inni wodzowie, którzy linję pierwszą tworzyli, nie pytając hetmana, pośpieszyli mu z pomocą. Walka zawrzała: ścierały się obie strony, raz ściśnionymi hufcami, to znów rozproszonymi, często też pojedynczo mąż z

meżem. Książę Korecki wyzwał na osobistą walkę jednego z baszów,
a gdy ten nie
pośpieszył ku niemu, sam z szablą w ręku rzucił się na otoczonego
oddziałem;
przybiegli księciu z pomocą Mikołaj Struś oraz Jan Tyszkiewicz i
rozgromili
nieprzyjaciół.

Do końca dnia toczyła się bitwa. Nadciągnęła druga linja, wsparła
zbyt
pośpiesznych i ostatecznie zwycięstwo przechyliło się na stronę
chrześcijan.

Poległo tego dnia trzy tysiące pięćset urków, Polaków trzysta
piećdziesiąt. Zwycięzkie wojsko dopiero noc
skłoniła do powrotu; wówczas hetman, zwoławszy do siebie
starszyznę, w te słowa
się odezwał:

— Gdyby nie gorącość jednych, zwycięstwo nasze byłoby zupełne:
tylko z rozwagą
połączony zapał laurem wieńczy czoło wojownika. Zbytняя gorącość
działa na
ślepo, bo jej utrudnia pewny tryumf, zbytняя gorącość nuży człowieka,
po niej
często stygnie najgorliwszy.. Dzień dzisiejszy okazał wam, co może
odwaga... Nie
zdołały nas pokonać liczne bisurmanów tłumy, a byłyby same
zupełnie pokonane,

gdyby było posłuszeństwo towarzyszyło odwadze..., Lecz roztropną
wytrwałością
wszystko jeszcze naprawić można; byleście nie popełnili nowych
błędów,
zwyciężymy jutro ostatecznie.
To powiedziawszy, oddalił się do namiotu; ukląkłszy pokornie,
pacierze wieczorne
głośno odmówił, legł na niedźwiedziej skórze i usnął twardo.

Nagle niesforne jakieś wrzaski zbudziły hetmana. Z szablą nagą w dłoni wyszedł z namiotu, a gdy odchylił oponę, wniósł kryjącą, okropny obraz nieładu przedstawił się jego oczom. Jedne namioty płonęły, drugie czeladź obozowa rozszarpała pomiędzy sobą, z innych wynosiła sprzęty, suknie, naczynia, związywała zrabowane rzeczy w tłumok i uciekała z ciężarem w stronę, z której za wałami otaczającymi obóz wstęgę siną Prutu widać było. Okazało się niebawem, że to gospodar Gracjan tak nastraszył obóz, zapewniając, że Turkom znaczne posiłki przysły z pomocą. — Otoczą nas zewsząd — prawil wojsku — gdzież znajdziemy wówczas pożywienie dla siebie, paszę dla koni? Jeśli od miecza nie poginiemy, czeka nas jeszcze gorsza śmierć od głodu. Tylko w ucieczce potajemnej możliwy jeszcze ratunek. Korzystajcie z nocy, uchodźcie coprędzej! I pierwszy dał przykład do sromotnej ucieczki. Nasi zrazu się wahali, lecz gdy Wołosi szczęśliwie przedostali się na przeciwny brzeg, wielu poszło za

ich przykładem. Wtedy czeladź, widząc, że panowie opuścili obóz, rzuciła się na ich namioty i rabować poczęła, a potem zrabowane podpaliła. Natychmiast wodzowie wpadli między czeladź, zabrzmiały donośne rozkazy, żołnierze śpieszyli gasić płonące namioty i chwytać uciekających ku rzece. Hetman, dosiadłszy konia, pośpieszył do obozu i tych, co szerzyli nieład, zmusił do porządku.

Szczyściem Turcy nie dostrzegli, co się dzieje w obozie przeciwnika;
hałas
dochodził ich wprawdzie, lecz pewni byli, że hetman czyni
przygotowania do nowej
bitwy, i myśleli nad tem, jakby jej uniknąć. Posłali wprawdzie po
posiłki, lecz
nateraz czuli się zbyt słabi do spotkania, pewni byli, iż nie wytrzymają
powtórnego równie dzielnego natarcia, jakim było ostatnie.
Powoli spokój powrócił w obozie: ugaszono pożary, odebrano ciurom
część
zrabowanych przedmiotów, zwołano rozproszonych żołnierzy, ale nie
wszystkich.
Kto przedostał się przez rzekę na drugą stronę, ten już poszedł dalej,
wielu w
nurtach Prutu śmierć znalazło.
Obszedłszy cały obóz, hetman przekonał się, iż szczupłe jego siły
znacznie
jeszcze zmniejszone zostały; zgębiony usunął się do namiotu i w
ponurych
myślach się pograżał... Takich więc dni przyszło mu dożyć, takiej
hańby, takiej
boleści!
— O, zaiste! nigdy zwierz zwierzęciu takiej krzywdy dotkliwej nie
uczyni, jak
człek człękowi-szepnął

z goryczą. — Gdybyż złe na nocy dzisiejszej się skończyło! lecz byłże
popelniony
grzech taki, któryby nowych za sobą nie pociągnął? Grzech to jak
zaraza: gdy
jeden jej ulegnie, setki potem poddają się złemu.
Tymczasem z obozu dochodził starca coraz cichszy gwar, za to jęki
rannych
stawały się coraz głośniejsze. Niejednego płomienie dosięgły i
cierpień dodały,

niejednemu trwoga i żal powiększyły gorączkę. Ksiądz Szymon
przechodził od łoża
do łoża, pocieszał, opatrywał i uspakajał; przywoływali go do siebie
ranni i
zaklinali, by im powiedział prawdę, czy Turcy nie wpadli do obozu,
czy braci ich
nie mordują.
Z trudnością uspokoił ich zacny kapłan. Nareszcie, gdy porządek
zupełny
zapanował w obozie, młody Żółkiewski do ojca pośpieszył oznajmić
mu o tem.
Siwobrody hetman podniósł się z wolna i, wsparłszy się na ramieniu
syna, wyszedł
przed namiot. Skupione rycerstwo oczekiwało go tam. Powiódłszy
pełnym smutku
okiem po złupionym i spalonym obozie, patrząc na dymiące jeszcze
popioły, na
ogłocone ze straży szanice, długą chwilę nie mógł zdobyć się na
słowa hetman.
Z oczyma w ziemię spuszczoneymi stało naprzeciw niego rycerstwo;
jedni wyrzucali
sobie, iż brali udział w ucieczce, drudzy, że niepotrafili tak przemówić
do
braci, żeby przykład Gracjana ich nie pociągnął. Uznawali wszyscy, iż
na łajanie
i wymówki zasłużyli, czekali na nie z pokorą.

— Cóż was do tej nikczemnej ucieczki przywiodło? — odezwał się
wreszcie hetman —
czemuż opuściliście wodza, który własne i wasze dobro ma jeno na
oku... Czemu
porzuciliście sławę dnia wczorajszego, czemu w głębi wód wstydne go
zgonu
szukaliście?.. Gdyby nieba przeznaczyły były to dobre imię, którem
męztwem i

posłuszeństwem waszem nabył, nie zaćmionem zachować do końca,
już dawno
powinienem był poledz; lecz podobało się Najwyższemu przedłużyć
moją starość,
ażebym doświadczył znieważenia powagi hetmańskiej, żebym patrzył
na zwątlone
szalonem nieposłuszeństwem szyki, na opuszczone szańce, na obóz
rozszarpany i
ogniem spłoniony. Lecz puszczam, jakom już powiedział, to wszystko
w niepamięć,
ani was o to tutaj przytomnych oskarżani. Już sam Bóg oddzielił od
nas niecných
i srogo ukarał; wy zaś, tuszę, zechcecie mi dopomódz, byśmy służyli
jeszcze
ojczyźnie miłej naszej. Zdrajca, który po to się z nami połączył, aby
wieść nas
na zgubę, już nas opuścił, nie będzie teraz komu stać się wam
pokuszeniem do
złego; ufam, że powierzone mi hufce oddam królowi, że je od zagłady
ocale.
Słowa te wysłuchane zostały z serdeczną skruchą; wszyscy cisnęli się
do hetmana,
by objąć jego kolana. Wzruszony starzec drżącą ręką ich błogosławił i
rozgrzeszał winnych.
O stoczeniu bitwy otwartej niepodobna było wszakże teraz myśleć, z
powodu
uszczuplonych przez

ucieczkę sił hetmańskich; postanowił on przeto powrócić do kraju.
Wodzowie otrzymali polecenie, aby poczynili przygotowania do
drogi. Zwinięto
namioty, osiodłano konie. Potem hetman rozkazał ustawić wozy w ten
sposób, aby
tworzyły czworobok i żeby wszystkie konie zwrócone były ku
ojczystej stronie, ku

której dążyć postanowił. Na wozach umieścił Żółkiewski piechotę, za wozami rycerstwo konne, pośrodku wozy z rannymi i żywnością, amunicją i namiotami; tył i boki tego obronnego taboru zasłaniały działa. Hetman z synem, siostrzeńcem, oraz z księdzem Szymonem stanęli na jednym z przednich wozów, w szable uzbrojeni.

Reszta nocy i dzień minęły na tych przygotowaniach. Turcy radzi, że Żółkiewski ich nie zaczepia, odpoczywali po krwawem starciu i wyglądali obiecanych posiłków.

Gdy noc nastąpiła, po krótkim spoczynku hetman zbudził rycerstwo, kazał wały, tył obozu zasłaniające, rozkopać i ruszono w drogę... Gdy dzień wygnał mroki nocy, Turcy przekonali się, jak mylne były ich przypuszczenia co do działań wroga. Z wrzał gniewem Skinder-basza i posiał pogoń za uchodzącymi.

Liczne oddziały Tatarów dognały wkrótce tabor i natarły ze wszystkich czterech stron, usiłując wedrzeć się do środka; chmury strzał świsnęły w powietrzu, lecz, odbiwszy się o tarcze stojących na wozach, niewiele szkody cofającym się uczyniły. Kilki

tylko ugodzonych zostało, — tych hetman kazał natychmiast przenieść na środkowe wozy, ksiądz Szymon ich opatrzył, a opróżnione miejsca zdrowi zajęli.

Znużeni bezskutecznymi usiłowaniami, Tatarzy cofnęli się popołudniu, a tabor

znowu wstecz posuwać się począł. Około wieczora, gdy dotarli do wygodnego miejsca, hetman kazał rycerstwu zatrzymać się dla wypoczynku, rozdał posiłek głodnym, kazał przynieść świeżej wody z poblizkiego strumienia — i ruszono znowu w drogę wolno, ostrożnie... Rycerze, posiadawszy z koni, legli na wozach, w śnie szukając pokrzepienia. Hetman nie spał, czuwał nad bezpieczeństwem taboru. — Jak bocian nad gniazdem, tak on stał całą noc nad powierzonymi jego pieczy hufcami, słuchem łowił dochodzące go z różnych stron szmery i wpatrywał się w cienie nocy, czy nie wyłania się z tej dali czarnej, pełnej tajemnic, jakie niebezpieczeństwo... Noc minęła wszakże spokojnie. Gdy brzask dnia zaświecił, hetman zatrzymał tabor, by konie wytchnęły i wszyscy posilili się; teraz rycerze wrócili na siodła, a pachołcy na wozy, i ruszono znowu w pochód. Droga poczynała być coraz bardziej nużąca, utrudniały ją błotne grzędzawiska, do których właśnie dotarli, zarośla i pagórki; jednakże nikt nie szemrał, a hetman rad, że duch dobry wstąpił w zbłąkane umysły, z ufnością w niebo spoglądał. Dzień upłynął szczęśliwie, ale gdy gwiazdy pokazały się na niebie, zjawili się Tatarzy i Turcy i z wielkim krzykiem obiegli tabor. W cieniach no-

cy złowrogo błyszczały ich szable, a jeszcze bardziej złowrogo zaświstały ich

strzały. Lecz rycerze nie stracili odwagi, zdjęli pośpiesznie z ramion
rusznice
i opór dzielny stawili.
Tym razem całą noc nie dał nieprzyjaciel chwili odpoczynku
uchodzącym, dopiero o
świcie ustąpił. Po tej nużącej nocy nastał dzień nie lepszy. Hetman
kazał
wprawdzie zatrzymać się wojsku dla wypoczynku, lecz, gdzie okiem
spojrzeć, tam
wszędzie zdala widać było grupy Tatarów, odpoczywających równie,
jak nasi. Na
czystym polu stał tabor, nie było przeto cienia, by ochłodzić spotniałe
głowy,
nie było wody dla spragnionych koni i ludzi; mała rzeczka płynęła
wprawdzie
płytkim korytem w pobliżu, lecz tę osadził nieprzyjaciel. Ruszono w
drogę po
krótkim spoczynku, który niewiele sił znużonym powrócił. Teraz
nowa przykrość
przybyła: spieczona skwarem ziemia, poruszona kopytami koni i
kołami wozów,
wzbijała się w górę w gęste obłoki pyłu, zasypywała oczy
uchodzącym, dusiła ich,
zasłaniała im słońce... Okryci ciemnym płaszczem kurzawy
nieprzyjaciele wpadali
z nienacką na tabor i ciężkie klęski zadawali.
Tak wśród różnorodnych przeszkód i trudności posuwał się obóz
Żółkiewskiego ku
granicom ojczyzynom. Czasami Turcy cały dzień i noc całą nie dawali
mu chwili
spokoju; czasami po parę dni nie ukazywali się: lecz i wtedy czuwać
trzeba było
bez ustannie, aby wróg nieprzygotowanych nie zasko-

czył. I czuwali wszyscy wytrwale, a gdy trzeba było walczyć, walczyli
mężnie;

rozpacz dodawała im odwagi i nadzieja, iż niebawem ujrzą ojczyste niwy. Znosili bez szemrania trudy uciążliwych marszów, bezsenne noce, pragnienie i głód, gdyż żywności poczęło brakować na wozach i raz na dzień jadali tylko. Słabszych duchem wspierali silniejsi słowami otuchy; ksiądz Szymon zachęcał codziennie wszystkich gorącą przemową do wytrwania i cierpliwości; słabszych w dłoniach wspierali silnymi barkami drudzy — i nieraz zdrowi z ranionymi staczali się razem z wozu na ziemię i ginęli wśród radosnych okrzyków Turków i Tatarów, zasiekani ich szablami.. Nie zdołali jednak barbarzyńcy przełamać taboru i do środka się dostać; zaprzestali szturmów bezskutecznych, Skinder-basza, zrażony tyłu niepowodzeniami, zatrzymał się na miejscu, kazał tylko jednemu ze swych wodzów, Kantymirowi, zdaleka obroty naszych uważać. Zbliżano się wreszcie do progów ojczyzny: ukazał się zgłodniałym, wycieńczonym i odartym żołnierzom Dniestr, za Dniestrem ojczyste niebo i łąki ojczyste, lasy, chaty i niwy... Hetman podniósł wzrok dziękczynny w niebo. Teraz już nie wątpił, że powierzone sobie hufce doprowadzi szczęśliwie do kraju, że matkom stroskanym synów powróci, dziatwie ojców, że miłej ojczyźnie odda potrzebnych obrońców... Głosem drżącym zanucił pieśń pobożną, zawtórowali mu ksiądz Szymon, syn, a potem dalej stojący.

Lecz cóż to za zgiełk zagłuszył naraz modlitwę pobożną?... Pewny, iż

nieprzyjaciel uderzył na obóz od tyłu, Żółkiewski posłał tam kilku dzielniejszych rycerzy z pomocą, pośpieszyli Struś, Tyszkiewicz i Konięcpolski,

— lecz Struś powrócił niebawem blady, z oczyma przerażeniem powiększonymi.

— Przekleństwo tym, co dali przykład pierwszy do ucieczki! — rzekł głosem pełnym

ropaczy. — Czeladź rozsunała wozy, biegnie ku rzece, by ją wpław przebyć, by

prędzej wrócić do domu.

— Gardłem przypląci każdy nieposłuszeństwo! — krzyknął groźnym głosem hetman i

zwrócił się do syna:

— Śpiesz, powiedz im o tem, obiegnij żywo cały tabor.

Lecz nie pomogły groźby: próżno młody Żółkiewski straszył czeladź karą, próżno

błagał potem, by do porządku wróciła; nieład coraz więcej się szerzył.

Jeden konie odpręgał i ku rzece uchodził, drugi rabował sprzęty na wozach i

uciekał z nimi. Zaczernił się brzeg Dniestru od zbiegów, zaszumiały jego wody,

rozległy się krzyki tonących i wołania radosne tych, co szczęśliwie dostali się

na brzeg przeciwny.

Posłyszał ten zgiełk, sunący jak cień za taborem, hetmańskim

Kantymir

— Wielki jest Ałłach! — zawołał głosem silnym. Skinął na swoich, zatętniała

ziemia i zemstą dyszące hufce muzułmanów wpadły w rozerwane szeregi, mordując

zmieszanych...

Widząc, iż ostatnia chwila się zbliża, Stanisław Żółkiewski ścisnął syna za

rękę, wziął błogosławieństwo od księdza Szymona, poczem z szablą w dłoni rzucił

się na nieprzyjaciela. Syn i synowiec, oraz kilkudziesięciu rycerzy
pośpieszyło
go bronić... Lecz próżno odpierają pociski wroga. Turcy zda się
wyrastają zpod
ziemi, coraz ich więcej koło starego wodza...
— Hetmanie! — rzekł Struś, zbliżywszy się do niego: — oto mój koń,
dosiądź go i
uchodź: tyś potrzebniejszy ojczyźnie.
Stary wódz spojrział na niego z wymówką.
— Moje miejsce wśród tych, których król mi powierzył — odparł.
I posunął się napowrót ku nieprzyjaciołom. — W tej samej chwili
krzywa szabla
muzułmańska spadła na siwą głowę starca i krew oblała mu twarz...
Zachwiał się
hetman, syn pośpieszył ku niemu z pomocą i objął go ramieniem...
— Obrońcą krzyża umieram! — szepnął Żółkiewski, wsparł się na
synu i skonał.
Turcy, otoczywszy ściśle garstkę pozostałą, żywcem zabrali
wszystkich, a
hetmanowi głowę ucięli, by ją razem z jeńcami powieźć w tryumfie
do sułtana.
Tak błąd kilku odpokutował srogo kraj cały...
Każde państwo to jakby wielka rodzina; gdy w rodzinie jedno z dzieci
zawini,
cierpią przez błąd jednego bracia i siostry, lubo sami nic złego nie po-

pełnili; gdy jedno splamione imię, plama ta spada na całą rodzinę.
Klęska cecorska wszystkie domy w Polsce okryła żałobą i smutkiem
wielkim.

ZAKOŃCZENIE.

Pewnego południa hetmanowa Żółkiewska, siedząc smutnie
zadumana w oknie swego

pokoju na zamku w Żółkwi, ujrzała ciągnący ku dworowi jakiś orszak.
Serce jej
zabiło niespokojnie, poczęła wpatrywać się lepiej i dojrzała wóz
czarnym całunem
kryty, otoczony rycerzami na koniach. Bładość śmiertelna okryła jej
lica,
przywołała córki i wyszła przed dom.
Orszak zbliżał się zwolna do bramy zamkowej, wjechał na dziedziniec
i zatrzymał
się przed gankiem, na którym stała matka z córkami. Biedne
przeczuwały, że
ciężki grom wisi nad nimi.
Rycerze posiadali z koni, jeden podał hetmanowej list z czarną
pieczęcią. Nie
pytając od kogo, drżącymi rękoma rozłamała pieczęć pismo
wzrokiem przebiegła, a
zwróciwszy się do córek, rzekła głosem stłumionym:

— Ojciec wasz nie żyje... poległ chlubnie w obronie powierzonego
mu rycerstwa.

Dziewczęta płakać zaczęły, hetmanowa, tłumiąc łzy, zapytała z
niepokojem
rycerzy:

— Czemu syn mój mar ojca do domu nie przywiózł?

Panowie pochylili czoła.

— Syn wasz, pani, w niewoli tureckiej — odparł Krzysztof Zbarazki.
Jęk głuchy dobył się z piersi nieszczęśliwej kobiety. Właśnie służba
zamkowa

wniosła na ganek trumnę bohatera zpod Cecory.

— Postawcie ją tutaj — rzekła hetmanowa — zdejmijcie wieko.

Chciała na sercu męża złożyć ból, który jej własnym szarpał; chciała
na jego

piersi wylać łzy, które cisnęły się do jej oczu.

Służba spełniła jej wolę. Padła na kolana przed trumną, lecz gdy
pochyliła się

nad nią, na pół omdlała osunęła się na ziemię... Zamiast drogich
rysów, na które
ostatni raz chciała spojrzeć, ujrzała kadłub bez głowy...
Przybiegły córki i zabrały zemdloną do sypialni; rycerze zanieśli mary
do dworu,
gdzie w najparadniejszej izbie umieszczone zostały.
Nazajutrz odbył się pogrzeb hetmana. Pochowano go w kościele
parafjalnym w
Żółkwi; kmiecie na własnych barkach ponieśli zwłoki ukochanego
pana

do rodzinnego grobu; za trumną szła spokojna już, w ciężkiej żałobie,
pani
Regina Żółkiewska z córkami, liczni sąsiedzi, przyjaciele zmarłego,
oraz rycerze
zpod Cecory.

Gdy nazajutrz panowie, którzy trumnę do Żółkwi przywieźli, żegnali
hetmanowę,

Krzysztof Zbarazki rzekł do niej:

— Tuszę, miłościwa pani, iż prędzej, niż liczyć możecie, przyciśnięcie
swego

syna do piersi. Uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, by jeńce
ziemi ojczystej
co rychlej powróceni byli.

— A my pomścimy śmierć dzielnego hetmana — dodali inni.

* * *

Klęska cecorska gorzkim wyrzutem zaciężyła na sercach rycerzy,
którzy walczyli
na tych nieszczęsnych polach.

— Czemuśmy nie łajali tak wymownie nieposłusznych, aż zlekliby się
czynu, jaki

zamierzeli spełnić! — mówili do siebie. — Czemu tak gorącymi
słowy nie

przemawialiśmy do nich, żeby ich upór złamać!

I postanowili żądać od króla, aby wystąpił przeciw Turkom świeże hufce.

Zwołany sejm na żądanie narodu całego uchwalił nową wyprawę przeciw muzułmanom.

Rok nie upłynął od strasznej klęski cecorskiej, a znowu na Dniestrze ukazały się

hufce polskie: płyną na wielkich promach, uzbrojeni od stóp do głów, poważni i

smutni wszyscy... Płyną z głębokim postanowieniem, że błędy braci naprawią, że

własną krwią zmyją ich grzechy. Spieszą przekonać wrogów, że walczyć jeszcze

potrafią i zgodnie działać...

Osiwiał od trudów wojennych hetman litewski, Karol Chodkiewicz, który pod

Kircholmem zmusił do odwrotu dziesięć razy liczniejszy od jego wojska hufiec

szwedzki, wiedzie rycerstwo polskie na bój. Obok niego widać młodszego o wiele

hetmana polnego: z Lubomirskich, wiedzie on swój ród; stary hetman go ceni, bo

odważny jest i pełen ochoty do czynu, prawą ręką swoją go zowie...

Minawszy Dniestr, hufce zwróciły się w stronę Chocimia, a dotarłszy do tego

miasta, rozłożyły się pod nim obozem. Bezpieczne to było miejsce: z jednej

strony otaczały je skaliste brzegi Dniestru, z drugiej gęste krzewy i wąwozy

niedostępne; tył zasłaniała wysoka skała, na której Chocim się rozłożył; z

przodu kazał hetman szanice usypać. Zabrało się rycerstwo gorliwie do roboty, w

niespełna parę godzin wały były gotowe.

Naprzeciw obozu polskiego rozłożyli się Turcy. Liczni byli, hufce ich tworzyły

różne ludy Azji i Afryki; góry i doliny rozciągające się naprzeciw
miasta
Chocimia pokryte zostały tysiącami białych namiotów. A wszystkie
one lśniły
pożłocistymi gał-

karni, strojącymi ich szczyty, i pstrzyły się różnej barwy proporcami.
Dziesięć
tysięcy wielbłądów pasło się wśród tego obozu, podwójna liczba
bawołów, koni
niezliczona ilość. Sto piętnaście dział, z których każde wyrzucało kule
funtów ważące, umieścili Turcy na przodzie swego obozu, który
tysięcy ludzi
składało. Sam sułtan tę siłę przyprodził pod Chocim, wezyrowie i
baszowie
dowodzili pojedynczymi oddziałami.
Chodkiewicz miał garstkę ze sobą w porównaniu tej liczby, lecz
odwagi nie
tracił: czytał szczery zapał do boju w sercach rycerzy, a przytem
zjawiały się
każdego dnia w jego obozie posiłki z kraju. Przybył ataman Kozaków,
Piotr
Konaszewicz, zwany Sahajdacznym dla strzał, jakie zawsze przy
sobie nosił na
plecach, i sporą liczbę zuchów przywiódł ze sobą; przybył królewicz
Władysław ze
sporym hufcem. Ujrzawszy wzmocnione swoje szeregi, hetman
począł czynić
przygotowania do boju, więc najprzód zwołał rycerstwo i przemówił
gorąco do
niego.

— Boże zmiłuj się nad nami! — zakończył hetman

Rycerstwo całe padło na kolana i ze łkaniem powtórzyło:

— Zmiłuj się nad nami! Poczem powstawszy, wołać poczęli:

— Prowadź nas natychmiast, — chcemy walczyć!

Hetman zapowiedział, iż nazajutrz stoczy bitwę z Turkami, i kazał
czynić
stosowne przygotowania.

Tymczasem sułtan, nadęty pychą, rzuciwszy okiem na szczupły obóz
polski,
roześmiał się z pogardą i nazajutrz, za ledwie świt zarumienił niebo,
wysłał
swoje wojsko przeciw chrześcijanom. Nie wątpił, iż w niespełna
godzinę powróci
ono z jeńcami i łupem.
Ogromne działa tureckie pociągnęły za wojskiem i straszny ogień
miotać poczęły.
Drżała ziemia od huku, pałało płomieniami powietrze. Lecz puszkarze
nie umieli
obchodzić się z nowonabytymi działami, więc kule, wzbiwszy się
zawysoko,
przenosiły obóz i padały daleko, szkody nikomu nie czyniąc.
Rozdrażniony tym widokiem, sułtan sam pośpieszył na czele licznego
hufca i
uderzył na rycerstwo polskie, które, wyległszy za wały, starcia
oczekiwało.
Chodkiewicz, mniej odważnym nie chcąc się okazać, z kopijnikami
swymi rzucił się
w pomoc otoczonemu przez Turków rycerstwu i sprawił odrazu
zamięszanie wśród
barbarzyńców. Ujrzawszy hetmana pomiędzy sobą, rycerze podwoili
odwagę. Walka
coraz zaciętszą się stawała. Turkom przybywały coraz nowe posiłki,
lecz
chrześcijan meztwo nie opuszczało. Minęło południe, nie ustąpili;
wieczór począł
się zbliżać, walczyli jeszcze wytrwale. Znużony sułtan, bluźniąc z
gniewu Bogu,
na odwrót zatrąbić kazał.

— Potopić was każe, pościnać, podusić! — mruzczał, patrząc posepnie
na swoje
hufce — bić się zapomnieli.

I rycerstwo chrześcijańskie było znużone, a najbardziej siwy hetman,
który z
trudnością trzymał się na koniu, — lecz radość z odniesionego
zwycięstwa
odwracała uwagę od wodza. Bogate łupy unosili żołnierze z pola
bitwy do obozu:
rzędy, szuby, zawoje, złotem ozdobione oręża, trzosi złota i drogie
kamienie!
Posiliwszy się przy ogniskach, rycerze udali się na spoczynek, nie
wątpiąc, że
nazajutrz Chodkiewicz powiedzie ich znowu na pole i że rozgromią
ostatecznie
Turków. Tymczasem smutna wieść powitała ich rano, gdy powstali ze
swoich posłań.
Hetman był chory...
Wieść ta jak grom uderzyła w wojowników...
— Ca pocniem bez wodza, bez rady? — pytali jedni drugich.
Lecz oto chory hetman wezwał dowódców do siebie, a gdy otoczyli
jego łoże,
słabym głosem przemówił do nich:
— Już docieka podobno godzina, gdzie zniszczonemu wiekiem,
chorobą i trudami
nazawsze, towarzysze moi, rozstać mi się z wami przychodzi Nie chcę
jednak, by
ulatujący duch mój pozostawił was bez opieki; na mojem miejscu
stanie hetman
polny Lubomirski... Tuszę, że mimo to szlachetny wasz zapał nie
ostygnie, że
będziecie zawsze pamiętali, jakie nieszczęście ściągnęło
nieposłuszeństwo kilku
pod Cecorą; że raczej śmierć tutaj poniesiecie, gdzie stoicie,

niż odstąpicie waszego wodza; że nie utrudniać, ale ułatwiać mu
będziecie
zwycięstwo nad wrogiem.
Mowa ta zmęczyła bardzo chorego, zmuszony był chwilę odpocząć.
Poczem kazał
podać sobie buławę i oddał ją Lubomirskiemu, który, przyklękawszy
u łoża,
przysięgł starcowi, iż do ostatniego tchnienia bronić będzie
powierzonych mu
hufców. Następnie rycerstwo na kolanach przysięgło, iż nie splami się
swawolą
lub nieposłuszeństwem.
Chorego hetmana jeszcze tego dnia odwieziono do Chocimia, a
miejsce jego zajął
Lubomirski, któremu odjeżdżający wódz dał wskazówki, jak ma
prowadzić wojnę.
W parę godzin po przybyciu do miasta Chodkiewicz oddał Bogu
ducha, lecz śmierć
jego utajono przed wojskiem, aby trwogi w serca żołnierzy nie rzuciła.
Lubomirski poprowadził rycerstwo do nowej bitwy, która świeżą
sławą czoła
wszystkich okryła, a Turków przekonała, że Polacy potrafią się
jeszcze bić.
Sułtan począł traktować o pokój, na który Lubomirski chętnie się
zgodził, gdyż
pocynało brakować w jego obozie żywności i amunicji, bez której
walczyć
niepodobna.
Po długich sporach zawarto nakoniec przymierze: sułtan przysięgł, iż
nie będzie
więcej napadał na Rzeczpospolitą, Lubomirski, iż król zobowiąże
Kozaków, aby nie
przekraczali granic Turcji.
Zwinawszy namioty, ruszyły wojska chrześcijańskie ku rzece
Dniestrowi. Żałosny
był z pozoru widok

tej garstki znękaney trudami: wybladłe od niespanych nocy twarze
rycerzy,
zapadłe od głodu policzki, po; darte i poszarpane ich suknie,
zbiedzone konie —
mogły budzić litość... Szły próżne wozy za jeźdźcami i piechotą, bez
żywności,
lub rannych pełne. Za wozami ciągnęła zwolna kolasa królewicza,
który
rozchorował się ciężko skutkiem zmęczenia i braku wygod. Lecz
nędza ta była
pozorną tylko: blade twarze rycerzy miały jasne spojrzenia, a na
ustach uśmiech.
I nie mogło być inaczej; wracali do domu z przekonaniem, że ocalili
kraj od
grożącego mu niebezpieczeństwa, że nową sławą imię jego ozdobili;
dążyli z
nadzieją, że, gdy wstąpią na ziemią ojczystą, rodacy uścisną im
dłonie. Wszakże
własną krwią zmyli płamę z imienia swych braci...
I nadzieje ich płonne nie były.
Wieść o zwycięztwie odniesionem pod Chocimem odbiła się
radosnem echem po całym
kraju, we wszystkich sercach. Zwycięztwo to szerszy jeszcze miało
rozgłos: cała
Europa mu przyklasnęła, boć Turcy byli wrogami nietylko Polski, lecz
wszystkich
ludów chrześcijańskich. Zewsząd dochodziły króla Zygmunta III-go
powinszowania,
że posiada tak dzielnych obrońców krzyża, a Papież nakazał rocznicę
bitwy
chocimskiej obchodzić wspomnieniem w księgach kościelnych.
Zwołany do Krakowa sejm podziękował publicznie swoim rycerzom,
poczem postanowił
zawrzeć stały pokój z Turcją i zażądać od niej zwrotu jeńców,

pobrane w dwóch Ostatnich wyprawach
Podjął się przeprowadzenia tej sprawy Krzysztof Zbarazki. Był on
jednym z
najzamożniejszych panów ówczesnych polskich, własnym kosztem
obiecywał urządzić
wyprawę poselską; postanowił olśnić sułtana swoim przepychem,
hojnością skłonić
do uległości. Wyruszył do Turcji w towarzystwie kilkudziesięciu
panów polskich,
we wspaniałym stroju, w złotej todze, w kołpaku, przy którym lśniła
brylantowa
kita, konia jego wiodło sześciu hajduków w złoto i jedwabie
przybranych.
Pięćdziesięciu młodych panów, również bogato przybranych, otaczało
go, za nim
dążyło czterdziestu strzelców i sto sług, którzy dźwigali jego zbroje.
Za
słudzy ciągnęły wozy darami wyładowane.
Wjechał na dziedziniec pałacu sułtańskiego, Zbarazki rozdał
zaraz hojne
podarunki dygnitarzom tureckim, którym sułtan kazał go powitać. Ze
zgiętymi
karkami, pokorni i zachwyceni baszowie poprowadzili go do sułtana.
Ten oczekiwał
poselstwa na tronie z poduszek złożonym, otoczony pierwszymi
urzędnikami
państwa; nad nim wisiał łuk z napiętą cięciwą.
Sułtan siedział nieporuszony, jak posąg z kamienia, chmurnem
wejrzeniem zmierzył
wchodzących do sali! a gdy stanęli przed nim dumni i hardzi i ukłon
pełen
godności mu złożyli, oblicze jego bardziej jeszcze spochmurniało.

Odgadując, co jest przyczyną niezadowolenia sułtana, jeden z urzędników,
zbliżywszy się do Zbarazkiego, szepnął:
— Zdejm kołpak.
— Chyba z moją głową! — odparł butnie poseł. Turek wskazał mu wzrokiem łuk wiszący nad tronem. Na to uśmiechnął się Zbarazki i coś szepnął jednemu z bliżej stojących.
Ten oddalił się z sali, niebawem jednak powrócił w towarzystwie dwóch sług, którzy dźwigali wielką skrzynię; dotarłszy do tronu, postawili ją przed sułtanem i wieko odchyłili; Zmrużyli Turcy oczy, takim blaskiem jaśniały klejnoty, przywieszone w darze przez Zbarazkiego władcy tureckiemu. Chciwość zwyciężyła obrażoną dumę: sułtan potwierdził układy chocimskie i wydał wszystkich jeńców, zabranych w ostatnich dwóch spotkaniach z rycerstwem polskim.
Powrót Krzysztofa Zbarazkiego wywołał ogólną radość w kraju: nie było domu żeby imienia jego z wdzięcznością nie wymawiano. W zamku żółkiewskim hetmanowa, odzyskawszy jedynaka, kazała odprawić w kościele dziękczynne nabożeństwo na intencję tego, co dotrzymał danej jej obietnicy. Naród cały dziękował publicznie na sejmie temu, który tysiące serc pocieszył.

KONIEC.